

W roku 1907, a XXV-m swego istnienia, ty-
godnik polityczno-społeczny
i literacki

„KRAJ”

z dodatkiem p. t.

„Przegląd Literacki”

wychodzić będzie nadal w Petersburgu, pod redakcją **Bohdana Kutylowskiego**, przy współudziale najwybitniejszych sił publicystycznych i literackich, oraz korespondentów ze wszystkich ognisk życia polskiego w świecie. — Liczne artykuły bieżące, oraz listy z Warszawy, Krakowa, Poznania, Lwowa, z nad Niemna, z nad Dniepru i przeglądy prasy polskiej, odzwierciedlają dzieje współczesne naszego narodu, uzupełniane przez korespondencyje z Ameryki północnej i południowej. „Kraj” zawiera oparte na bezpośredniej znajomości stosunków i ludzi, źródłowe i dokładne wiadomości z przebiegu wypadków pierwszorzędnej doniosłości dziejowej na **widowni polityczno-społecznej rosyjskiej**. Uwzględniając potrzeby kolonii polskich w Cesarstwie, „Kraj” podaje wieści szczegółowe o ich życiu, wroście i rozwoju.

„Przegląd Literacki” zawierać będzie pogadanki na tematy bieżące, nowele, sylwetki literackie autorów współczesnych, wiadomości z dziedziny literatury, umiejętności i sztuki, oraz ilustracje.

Prenumerata wynosi: W Petersburgu kwartalnie rb. 1.75.
W Królestwie i Cesarstwie kwartalnie rb. 2. Zagranicą kwartalnie rb. 3.

W tym samym stosunku rocznie i półrocznie.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Petersburg, Jekateryński Kanat 82.**

Kantoru Warszawskiego: **Chmielna 43.**

Telefon 190-51.

76 ROK ISTNIENIA.

Gazeta Polska

Wychodzi pod kierunkiem **R. Dmowskiego**,
Od Nowego Roku została **znacznie powiększona**, przy
jednoczesnem wprowadzeniu ulepszeń wewnętrznych.

„Gazeta Polska” stawia sobie za
cel stać się możliwie pełnym wyrazem po-
lityki narodowej, życia polskiego i myśli
polskiej we wszystkich dziedzinach.

W dziale literatury dawać będzie
utwory pierwszorzędnej wartości.

„Gazecie Polskiej” przyrzekli naj-
nowsze utwory swego pióra:

Henryk Sienkiewicz,
Jan Kasprówicz, Wł. St. Reymont
i wielu innych.

Wiadomości, dotyczące handlu zbożem i pro-
duktami rolnymi, będzie podawało „Gazecie
Polskiej” „Biuro Kooperacji Rolnej”.

Pomimo zmian i ulepszeń, cena
GAZETY POLSKIEJ pozostaje

bez zmiany

a mianowicie:

	Roeczn.	półr.	kwart.	mies.	
w Warszawie	rb. 9.60	4.80	2.40	0.80	Zmiana
Z przes. poczt.	12.—	6.—	3.—	—	adresu
Za granicą	18.—	9.—	4.50	—	20 kop.

Adres Redakcyi: Boduena 5. Adres Administr.: Warecka 14.

Paulina z Ł. Wilkońska.



MOJE WSPOMNIENIA

o życiu towarzyskiem w Warszawie

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.



CZĘŚĆ II.

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. N1CZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70-
1907.

Zebrania u pani Seweryny z Zochowskich Pruszkowej (Duchińskiej).

W jesieni 1847 r. pani Seweryna Pruszkowa zajęła mieszkanie w pawilonie pałacu Zamoyskich przy ulicy Żabiej. Otworzyła salon i przyjmowała w niedziele.

Pełna życia, inteligentna, uprzejma, umiała szczególniej zebrania ożywiać swoje. Zamilowana w piśmiennictwie i w pracy literackiej, jako też i w muzyce, gromadziła w koło siebie pierwsze na tem polu talenta. A spotykano w jej salonie i pierwszych malarzy, jak to Piwarskiego, Lessera, Sako-wicza i t. d.

Posiadała piękny księgozbiór i miewała różne zagraniczne literackie nowości. Zwykle na wieczorach swoich wybrała jaki zajmujący, piękny utwór do przeczytania głośno. Pamiętam, że na pierwszym przeczytano Juliusza Słowackiego „Jan Bielcki“, który mało wtedy jeszcze był upowszechnionym w Warszawie. Także Psalm—i odpowiedź na nie.

Potem nastąpiła muzyka. Słuchaliśmy gry dźwięcznej na fortepianie, niezrównanej lekkości, wycieniowania i uczucia tyle zasłużonego Oskara Kolberga. I ożywiały nas jego Kujawiaki ochocze, z cechą wybitnie swojską.

Ignacy Komorowski śpiewał nam głosem niemocnym lecz miłym swoje cudne „Galary“, „Kalinę“ i t. p.

Na późniejszych wieczorach zajmowała nas gra melodyjna i biegła młodego pianisty Janickiego, który tylko co z Konserwatorium paryskiego był powrócił. Umarł, niestety, zbyt wczesnie dla rodziny i sztuki, na chorobę piersiową.

W Nowy Rok był pierwszy liczniejszy wieczór i tańczono nawet. Wtem słyszymy podedrzwiami kilka młodych, nieco ochrypłych głosów, śpiewających kolendę.

— Szopka! Szopka—zawolano.

I wpuszczono chłopców z szopką do pokoju. Była sobie dość zwyczajną. Ale Małgorzatka, parobczak, kominiarz i Żyd, śpiewali zwrotki więcej ciekawe, aniżeli powszednio bywa. Było tam coś o nadziei, o ludzie, o bratniej miłości, zgodzie i kilka dowcipnych wystrzałków.

Przypuszczaliśmy na pewne, że chłopcy byli pouczeni. To też ucieszona gospodyni domu tem sowinguraczyć ich kazała.

W czasie karnawału, począwszy od dnia św. Seweryny, wieczory niedzielne bywały coraz liczniejsze a liczniejsze. Prócz literatów, artystów, urzędników wyższych, bywało i dużo obywatelstwa wiejskiego, jak to: Pintoŵscy, Skarzyńcy, Zaborowscy,

Dąbrowscy i t. p. Tańczono zwykle aż do północy. Bywał na tych wieczorach także i znany literat, historyk, Hieronim Ciemniejszy.

W 1850 r. zebrania u pani Pruszkowej stały się poważne całkiem. Bywał na nich i znakomity mówca, ks. Topolski. Rozmowa toczyła się nader zajmująca. Przeczytano niejedną piękną ustęp i można było niejedno głębsze posłyszeć zdanie.

W 1851 roku przeniosła się na Nowy Świat i więcej jeszcze koło rozszerzyła swoje.

Na jeden z jej wieczorów zabraliśmy z sobą Romualda Podbereskiego.

Był to młody człowiek, miłych form towarzyskich i pełen względności w obejściu. A przemawiała za nim i praca kilkoletnia na niwie piśmiennictwa ojezystego. Wydawał w Wilnie „Pamiętnik naukowo-literacki;” przetłumaczył „Człowieka bez cienia“ i t. d.

Wieczór był liczny, a poważny całkiem. Kilku panów zasiadło do preferansa i mąż mój także. Inni znowu czysto literackie złożyli kółko. A Podbereski opowiadał o Petersburgu i Wilnie. Potem Oskar Kolberg uproszony zagrał nam mazurki Szopena i całe zachwycił zebranie. Podbereski słyszał go wtedy raz pierwszy, i ostatni!

Po północy przystąpił do mnie, mówiąc:

— Racz mnie pani wytłumaczyć przed panem Augustem, że oddalę się pierwiej. Preferans pociągnie zapewne dłużej, a obiecałem Walentemu Zakrzewskiemu i Józefowi Ćwierczakiewiczowi, że zejść się z nimi po północy.

Pożegnał mnie: do widzenia, jutro!

Nazajutrz wyszedł August na miasto. Wraca, a był u mnie właśnie Wacław Szymanowski i ktoś tam jeszcze, nie pomnę.

— Nie zlekniij się, Polciu — mówi mąż mój dziwnie wzburzony.

— Cóż takiego? — zerwałam się przestraszona.

— Podbereski został aresztowany nad ranem i odwieziony do cytadeli. Zaraz po rozejściu się z Zakrzewskim i Ówierczakiewiczem.

Splotłam ręce z żalem; była to zaiste przerażająca nowina, bo kto raz wpadł w tę paszczę, nie wydobył się z niej tak prędko:

W ciągu dnia nadeszli Zakrzewski i Ówierczakiewicz przerażeni i niespokojni. Przyjechała pani Seweryna rozżalona, usłyszawszy co zaszło, bo takie wiadomości i zaraz hyżo bardzo obiegają po Warszawie.

Niektóre wysoko postawione osoby starały się dowiedzieć o losie biednego Romualda Podbereskiego i co jemu zarzucano właściwie... Ale któżby tam o czemś podobnem mógł się dowiedzieć! Istnie, jak gdyby po zanim grobowe zapadły wrota.

Z mieszkania jego wszystkie zabrano rzeczy, papiery i książki, pomiędzy któremi wiele i naszych. Ale niewarto było upomnieć się o nie.

W pierwszych dniach maja musieliśmy wskutek rozkazu namiestnika Królestwa, opuścić Warszawę i kongresówkę.

Pani Seweryna Pruszkowa napisała mi na pożegnanie:

O! snadno to snadno w majowy poranek
Gdy kwiatów dostatkim na niwie,

Dobierać barw jasnych do świeżych równianek
I wiązać je społem cierpliwie.

O! snadno to snadno, kiedy leśna rzesza
Na słonka złotego brzask nowy,
Z odległych zimowisk radośnie pośpiesza
I pieśnią zapełnia dąbrowy.

Wzbić się z skowronkiem w niebo myślą młoda,
Zakukać z kukulką żałośnie —
Lub z cichą jaskółką krążąc po nad wodą,
Zaśpiewać — zamarzyć o wiosnie!

Leez kiedy do koła grad zbił nasze lany,
Kiedy liśe pożółkły przed czasem,
Daleko, do morza, prąd fali wiślanej
Unosi z ponurym hałasem.

Gdy zamiast natehnionej piosenki słowiezej,
Krakając złowieszco na grobie,
Chór ptastwa nocnego w eiszy tajemniczej
Odzywa się glucho w żalobie.

O! ciężko naówczas, o! ciężko poecie,
Gdy zbyt wiele cienia i skaży,
A życia uroku tak mało na świecie,
Śnić z duszy smutnej obrazy

I woiać z boleścią na tłumy zbłąkane,
Wskazywać gdzie wiara — otucha —
Cheieć słowem ukoić krew sączącą ranę —
Kiedy nikt słów naszych nie słucha.

A jednak, a jednak — komu palec Boży
Spoczął wraz z natehnieniem na czole,
Póki tli w nim życie, w grób się nie położy —
Leez pójdzie przez ciernie i bole.

Pójdzie na Golgotę za Chrystusa śladem,
Ponurą odziany żalobą —
Dźwigaj więc odważnie krzyż mistrza przykładem
Ja brzemień podzielię wraz z tobą.

W roku 1853, przybyła pani Seweryna umyślnie odwiedzić mnie w Siekierkach na dwa tygodnie—znękaną i zbolaną śmiercią męża. Za co jej nieskończenie wdzięczną byłam.

I wtedy to, siedząc raz przy biurku mojem, rzuciła mi kartkę:

Nie jedne dłonie nas kołysały,
Nie jeden do snu koił nas śpiew,
Nie jednakieśmy rankiem zrywały
Kwiaty, pod cieniem jednakich drzew.

Wszak nas nie łączy, o Sostro biedna,
Odwieczny węzeł jednejże krwi! —
Cóż nas zbratało? o! boleść jedna,
Jedna tęsknota — smutek — i lzy!

Co nas zbratało? o! jedna wiara,
Jedne zawody i jeden żal.
I jedna miłość — jedna ofiara —
Jednakie burze, wśród życia fal! —

Co nas zbratało? jedna otucha,
I jedna kolej tajemnych dróg,
I jedna iskra promienna ducha,
O! nas pobratał — Sostro, sam Bóg!

Wspólnie nam wspólnie o Paulino,
Biegna żywota posępne dni,
Jak mętne wody potoku płyną,
Gdy w nich nadziei gwiazdka nie lśni.

Jedną daniną zplacamy obie
Panu znojnego żywota dług —
Na jednej między, społem, w żalobie,
Rwiemy na wianki ciernie i glóg.

To też o Sostro, tęskno i lżawo
Idźmy przez życie, podaj mi dłoń —
Na mej piersi utul pierś krwawa,
I na mej skroni płonąca skroń.

Idźmy o idźmy drogą żywota,
Przez najeżony krzemieniem smug,
Wszakże sierocie siostrą sierota —
Wszak spólnym ojcem sierotom Bóg!

W roku 1855, pani Seweryna Pruszkowska mieszkała w pałacu Zamoyskich na Nowym-Świecie. I byłam u niej w gościnie.

Jej powieści poetyczne—w rodzaju ślicznych gawęd Syrokomli — drukowane naprzód w „Bibliotece Warszawskiej,” bez jej podpisu, zwróciły uwagę odrazu i podobały się bardzo. Czytywano je z zajęciem wielkim i ciekawie o autora pytano. Tajemnica nie potrwała długo, i ukazały się: „Dwa dwory,” „Zagroda wiejska,” „Córka wdowy,” „Elżbieta Drużbacka,” w czterech tomach.

Pracowała właśnie nad przekładem z dzieła Eichoffa: „Obraz literatury średniowiecznych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców.” Przekład ten z dodatkami i poprawą co do literatury Słowian W. A. Maciejowskiego, wyszedł w dwóch tomach 1856 r.

Pracowała wiele, z wielkiem zamiłowaniem. Pisywała po całych rankach już do rychłej godziny, w pokoju, w którym bibliotekę umieściła swoją. Nadto i w poobiednich godzinach. Wieczory zaś tylko towarzyskiemu oddawała życiu, odwiedzając domy znajome, albo też przyjmując u siebie.

Mam troszkę zasługi, żem jej wówczas myśl poddała stworzenia poematu, którego bohaterem była podniosła postać poety i człowieka, Sebastyana Klo-

nowicza. Stworzyła rzecz piękną — i cieszę się szezercze, żem na to dzwoniła kazania.

Pani Seweryna przyjmowała w r. 1855, w soboty, i dużo, bardzo dużo bywało osób. Tam poznałam Józefę Śmigielką (dzisiejszą Dobieszewską)

Julię Janiszewską; panią Gorecką, Lindównę z domu, J. K. Gregorowicza, Apolinarego Zagórskiego, Majewskich, malarza Kosowicza i t. d.

Tam spotykałam z wielką przyjemnością dawnych znajomych. Bywali niemal zawsze: Paszkowscy, Wójcicy, Korzeniowscy, Maciejowscy, pani Lewocka, pani Łempicka, Julian Bartoszewicz, Szateński, Borakowscy, pani Rogozińska z córką Władysławą, poetką, Szabrański, Wacław Szymanowski, Oskar Kolberg, Seweryn Kapliński, Jaroński, pianista, Piwarscy, Kuczalscy i Meleniewscy z Ukrainy, Aleksander Niewiarowski, Stanisław Budzyński—i wielu innych.

Bywał i Franciszek Salezy Dmochowski, jeden z najzasłużeńszych w polskim piśmiennictwie mężów. Syn znakomitego literata, Franciszka Ksawerego i Izabelli z Mikorskich.

Franciszek Salezy naprzód, jako poeta, odznaczył się pięknem spolszczeniem „Maryusza w Minturnie“ Arnault'a, „Andromaki“ Molière'a i t. d. Następnie był redaktorem „Tygodnika Polskiego“ r. 1820. Tygodnika dla płci pięknej „Wanda“, roku 1821, do którego sławny humorysta i komik, Aloizy Żółkowski swojego rozgłośnego „Momusa“ dołączał.

W r. 1825 i 1826, wydawał „Bibliotekę Polską“, pamiętnik literacki, historyczny i naukowy.

W latach 1826—1829 „Korespondenta.“ W roku 1835 pismo illustrowane, „Muzeum domowe.“ Jemu zawdzięcza piśmiennictwo polskie wydanie licznych tłumaczeń powieści i romansów Walter-Scota, niezaprzeczenie pierwszego na tem polu mistrza Balzac'a, Pawła Kocka i t. p. A nadto arcydzieł literatury klasycznej, jak to: „Iliady“, „Odyssei“, „Eneidy.“ Przekład „Raju utraconego“ Milton'a, „Noey“ Jung'a i „Sztuki rymotwórczej“ Boileau. Był i jest współpracownikiem do różnych pism warszawskich. Pisuje dużo dla ludu. Znaną jest jego wdzięczna powieść „Nauczycielka.“ A gdy wyjdą Wspomnienia jego — zebrane od r. 1806 do 1830, niewątpliwie wielkie wywołają zajęcie. Pan Franciszek Salezy jest nieskończenie przyjemnym w towarzystwie, obszernej wiedzy i olbrzymiej pamięci. Deklamuje, czytuje — i wie przewszystko. Rozmowa z nim, pełna ożywienia, nie wyczerpuje się nigdy.

Z wdzięcznem uczuciem przytoczę tutaj wiersz, który mi napisał—powtarzam przez wdzięczność — a nie przez próżność. Bo podobno, że poważną zajęty pracą, dzisiaj już rymów nie składa. A wypowiedział w tym wierszu upominkowym i zdanie swoje o tegoczesnej powieści:

„Wiek nasz jest powieści wiekiem
Każdy stan chećwie je czyta,
A powieść nigdy nie syta,
Wszystkich pomysłów jest stekiem.
Rozgorzała wyobraźnia
Najskrytsze rozbiera uczucia,
Nurza się w otchłai zepsucia,
I krwawe rany rozdrażnia.

Na ważne losu igrzyska
 Zwodniczym promieniem błyska,
 A błędny czytelnik szuka,
 Gdzie tam jest prawda — gdzie sztuka.
 To jak szaleniec lub dziecko
 Z dwusiecznym igrą orężem.
 To chytrym stając się wężem,
 Dla zgubnych celów zdradziecko
 Podkopuje prawdy stare,
 Ludzkość — sumienie i wiarę.

Taką jest powieść zachodu,
 Stek przewrotu, brudów, szalu,
 Boże! do naszego rodu
 Nie dopuść takiego kału.
 Hańbi kapłaństwo pisarza,
 Kto marnym wiedziony zyskiem,
 Grzebie w śmietniku paryskim
 I w polski strój go przetwarza.

Dziś w naszych pisarzy gronie
 Są pióra mniej więcej świetne,
 Leez myśl jest czysta, a w łonie
 Drży polskie serce szlachetne.

Ich narodowe powieści
 Słodzą nam tęskne godziny:
 Głos prawdy w ich liczbie mieści
 Ciebie, autorko Wawrzyny.

Warszawa, 8 lutego 1855.

Fr. Sal. Dmochowski.

Znakomity literat mieszkał wtedy na wsi, w Płockiem, w majątku swoim i odwiedził mnie uprzejmie, gdym następnie u wuja mojego w Górach pod Płockiem przez tygodni parę gościła. Spę-

dziliśmy w towarzystwie jego kilka godzin nader przyjemnie *).

Do ludzi kolosalnej pamięci należy także i Wacław Szymanowski, poeta i publicysta. Wykończył był właśnie wtedy swój dramat, „Salomon,“ pięcio-aktowy. A chcąc mnie z nim obznajmić i nie mając rękopisu z sobą—wygłosił mi go upani Pruszkowej cały, caluteńki z pamięci, niby tchem jednym — bez opuszczenia jednego wyrazu! Słuchałam z nieokreślonym zajęciem pięknego, dramatycznego utworu, a zarazem podziwiałam pamięć spotęgowaną i werwę.

Pospołu z panią Seweryną odwiedziliśmy ezeigodnego Stanisława Jachowicza, męża nieokreślonych zasług. I dał mi na pamiątkę śliczną bajeczkę:

„Ptaszek w gabinecie“.

Przypadkiem czy też z igraszki
 Wpadł wróbel, gdzie za szkiełkiem stały w szafkach ptaszki.
 Szczęśliwy, że tak wielu znalazł towarzyszy.
 Ale cóż? głosu żadnego nie słyszy.

„Hej koledzy! co to znaczy?”

„Niech mi który wytłomaczy“.

Nikt nie odpowiedział,

Każdy cicho siedział.

„Ach! dziękuję waćpanom“—rzekł wróbel szary —

„Złe niegrzeczne rozmowy, złe kłótnie i swary.

„Ale mam honor panom tę prawdę powiedzieć,

„Wolę się klócić w boru, niż tu z wami siedzieć“.

Warszawa, 9 maja 1855.

Stanisław Jachowicz.

*) Franciszek Salezy Dmochowski umarł w sierpniu 1871 r.

Częściej może od innych bywał Apolinary Zagórski u pani Pruszkowej. Cenila jego rozmowę ponad wszystko—bo i któż nie byłby go chętnie i z zajęciem posłuchał? Mówił językiem pięknym, z myślą bogatą, i całą przejmował się duszą.

Wspominałam już, mówiąc o wieczorach u pani Lewockiej o jego „Kielichu goryczy“ — którego konfiskata (u wydawcy K. Żupańskiego w Poznaniu) wielką sprawiła mu przykrość, bo kochał ten swój utwór, z głębi duszy wyrwany. A „Kielich goryczy“ miał wyjść bezimiennie—zatem żadna nim próżność światowa nie powodowała. Nadto był i skromnym ponad wszelki wyraz.

Wyraził się w jednym z listów swoich do mnie:

„Powierzam Tobie, dobra Pani, ten rękopis w zupełnej wierze i przekonaniu, że uwzględnisz prośbę moją dochowania tajemnicy mojego nazwiska—najzupełniejszej i bezwyjątkowej.”

To też dochowałam jej święcie — i dopiero wypowiadałam ją teraz w lat kilka po jego śmierci. Dalej pisał:

„Za pieniądze go nie sprzedam — będzie więc Pani łaskawa darować go któremu z księgarzy lub na cel dobroczynny obrócić.

„Jeszcze prośba jedna! Racz po wyjęciu egzemplarza rozesłać następnie: Stanisławowi Koźmianowi, autorowi „Dnia dzisiejszego,” Karolowi Libeltowi, Józefowi Kremerowi, Wincentemu Polowi i Augustowi Cieszkowskiemu. Niech ten dobry upominek przyjmą jako wyraz głębokiej czci, jaką im

niesie bezimienny autor — ale bezimienny, jaknajusilniej proszę!”

Szkoda, że choć jeden nie ocalał egzemplarz. Później napisał mi znowu:

„Warszawa, 12 listopada 1856.

Najuprzejmiej dziękuję kochanej Pani za pamięć jej o moim interesie. O szczegółach, które go dotyczą, wiem z listu Twego, Pani, pisanego do siostry mojej — dlatego też śmiem wywiadywać się, czy proces prasowy skończony i czy pomyślny jego wypadek. Nagłę, bo mi pilno.

„Co słyhać w Poznańskim? Nie znam tej części kraju i nie mam wyobrażenia o rodzaju jej życia. Panna Jadwiga Łuszczewska bardzo przyjemne wspomnienie z okolic waszych wywiozła — i bardzo je zachwała. Życzylbym sobie serdecznie bliżej się z Wielkopolską poznać...”

Biedny nie przeczuwał jak krótkim czas naznaczonym mu został! Chcieli go lekarze wysłać do ciepłego klimatu—do Egiptu. Zgasł w Warszawie na gwałtownie rozwiniętą chorobę piersiową.

W jednym z listów swoich doniosła mi Julja Janiszewska:

„..... Widziałam Zagórskiego w przeszłą środę—przeleżałam się i rozżaliłam. Brak głosu—oczy jakieś promienne, nieziemskim błyszczące blaskiem—ręka paląca... smutne, bardzo smutne uczynił wrażenie...”

Jego „Gawędy o astronomii” w Gazecie Warszawskiej były bardzo cenione.

Napisał mi w mojej książce pamiętek:

„Kto miłuje—wierzy i spodziewa się w Chrystusie, zwycięży! Miłujmy więc, wierźmy i połączmy w Nim nadzieję!

Prosząc o wspomnienie, te słowa zapisuję.

Warszawa, 5 kwietnia 1855.

Apol. Zagórski.”

Począł się w owym czasie odznaczać w literackim zawodzie, niezwykłą zdolnością i bystrością umysłu, zamiłowaniem pracy i nauki, młody Gustaw Waliszewski. Bywał zawsze na sobotnich wieczorach. Lubili i cenili go wszyscy, i znamienitą przepowiadali mu przyszłość. Był także i zwierzchnią obdarzony urodą.

Aleksander Wacław Maciejowski i Julian Borkoszewicz pokochali go szczególnie.

W czerwcu niestety, ów młodzieniec tak pięknych nadziei na zjadliwy zachorował tyfus, który zmiotł go po dniach kilku, jakby kwiat kosą podcięty.

Juljan Bartoszewicz doniósł mi o tej stracie z głębokim żalem.

Wacław Aleksander Maciejowski w liście swoim z 24 czerwca 1855 wyraził się:

„Czy wiesz już Pani o naszym nieszczęściu, że Gustaw Waliszewski żyć przestał?”

U państwa Goreckich bywały wtorki. Zbiegało się niemal to samo towarzystwo co u pani Pruszkowej.

Tam poznałem znakomitego mówcę, znanego pastora Otto, który w latach 1864—62 — i 63, tak wielką zjednał sobie cześć i współczucie.

Dr Ferdynand Gotard Karol Dworzaczek i jego kółko.

Jednym z najznakomitszych mężów w Polsce jest niezaprzeczenie Ferdynand Dworzaczek: jako spotęgowana nauka i charakter wzniosły, najprawdzy, najszlachetniejszy, serce wielkie i dusza piękna. Lekarz sławy powszechnej, obywatel za wzór służący. Głowa rodziny z miłością i poświęceniem, przyjaciel jakich mało, dobroczyńca z cicha, potajemnie swojego udzielający wsparcia.

Nie kreślę tu jego życiorysu, bo do tego pióro moje zbyt jest nieudolne, i zastąpią mnie inni. Zresztą i nie czas jeszcze po temu!... Bo dziś niepodobna obszerniej i dokładnie o jego rozpisac się życiu. Ale, mówiąc o życiu towarzyskiem w Warszawie, staje się dla mnie niepodobieństwem, dom ten zacny i tę wielką osobistość pominać, ile, że go z chlubą i błogiem uczuciem do naszych najpińszych, najprawdziwszych przyjaciół zaliczam.

Urodził się w Szluchowie, w Prusach Zachodnich r. 1804, z ojca Wacława i Józefy z Hubów, siostry dwóch wysoko postawionych urzędników. Chodził do szkoły w Złotowie, Flatau; potem do ks. Pijarów w Warszawie, gdzie także uczęszczał w uniwersytecie na wydział lekarski, w latach 1825 i 26. W latach 1827—28 i 29, słuchał wykładu sławnych lekarzy niemieckich w Berlinie i Lipsku. A później przez lat parę w Paryżu. Będąc w Berlinie zaprzyjaźnił się bliżej z dr. Karolem Libeltem i J. K. Żupańskim.

W roku 1831 pośpieszył do Warszawy, by współbraciom najtroskliwszą nieść pomoc... Oddano mu lazaret Poznański. A odznaczył się w nim jako lekarz i człowiek, i ogólny zjednał sobie szacunek i sławę.

W roku 1832 udał się za granicę z przyjacielem dr. Gałęzowskim do Getyngi. Później słuchał wykładu sławnych lekarzy w Heidelbergu, a później znowu do Paryża powrócił. Połączył się tamże ścisłym węzłem przyjaźni z dr. Karolem Marcinkowskim. I zjednał sobie ogólną, a serdeczną wdzięczność, jako członek „Towarzystwa naukowego polskiego“, jako też i Pań polskich, ku wspieraniu biednych i chorych rodaków.

W roku 1835 powrócił do Warszawy i stale w niej osiadł.

Kilka uczonych towarzystw zaprosiło go do swojego grona. A biograf jego w „Encyklopedyi powszechnej“ wyraża się aż nadto sprawiedliwie:

„Poświęcenie jego dla nauk sztuki lekarskiej, dla chorych i cierpiącej ludzkości—granic nie znało.

Jako prawdziwy mędrzec na małym przestający, znajdował i znajduje całe swe szczęście w niesieniu ulgi nieszczęśliwym“.

Gmina Augsburgsko-ewangelicka w Warszawie założyła pod prezydencją dr. Malcza piękny szpital dla wszystkich wyznań chrześcijańskich, zwany Ewangelickim, dr. Malcz powierzył go serdecznemu przyjacielowi, doktorowi Dworzaczkowi, zakład ten zbawienny w najzacniejsze dostał się ręce.

Zażębie nagle, gdy zacny lekarz w nocy dążył do chorego, spowodowało chorobę oczów. Leczył się na nią przez lat parę, z poddaniem się i cierpliwością męczeńską, ale na próżno! I w roku 1848 wzrok całkiem utracił. To wielkie nieszczęście zniósł z bezprzykładną mocą duszy i pogodą ducha.

Dr. Ferdynand Dworzaczek bywa dotąd zapraszany do ważniejszych porad lekarskich. I jako szczególnie uproszony, odwiedza niekiedy jeszcze i ciężko chorych, którzy jego wzywają pomocy.

W r. 1850 zamieszkał we wsi zadzierzawionej, Topola pod Łęczycą. Leczył lud z okolicy, który go nazywał: „Święty ślepy doktor“ i z czecią uroczystą gromadnie cisnął się do niego. Później, czasowo w Warszawie zamieszkał. Dziś zaś znowu mieszka w Topoli.

Mąż znakomity ciągle umysłowo pracuje. Zamieszczał i zamieszcza artykuły nader ważne dla nauki w „Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego“ w „Tygodniku lekarskim“. Dawniej w „Dzwonie literackim“ i w „Wiążance literackiej“. Arcy - pięknym, podniosłym, napisane językiem, pełne wielkich i głębo-

kich myśli — któreby zaszczyt każdej przyniosły literaturze.

Sam pisać nie może, ale dyktował i dyktuje. Dyktuje, chodząc po pokoju, a sypią się i tryskają myśli prawdziwego natchnienia.

Wyjeżdżał raz za granicę, jeszcze gdy wzrok miał zdrowy, i był u nas w przeddzień wyjazdu, wieczorem, na pożegnanie. Miał wyjechać o godzinie 5 z rana, więc mąż mój, nie powiedziawszy mu nic, gdy odchodził, wstał rycie i przed 5 już był w jego mieszkaniu. Został pokoje pełne ubogich, którym człowiek-lekarz wydzielal wsparcia i recepty do apteki, gdzie na rachunek jego dawano im darmo lekarstwa.

August przesunął się nieznacznie i stanął poza drzwiami przy szafie. Bo gdyby Dworzaczek był spostrzegł świadka czynów swoich, byłby się, przy żywości temperamentu swojego, pogniewał pewno. Potem dopiero, gdy już rozeszli się wszyscy, niby to przybył dopiero, przywitał i pożegnał szlachetnego męża.

— Zastaleś jeszcze Dworzaczka? — zapytałam go, gdy powrócił.

— A jakże!... Lecz pograłem tam w juru ¹⁾.

— Jakto?

I ze łzą w oku opowiedział mi podniosłą seceę, której był świadkiem.

Przytoczę tu także jeszcze i czyn jeden, jakich wszelako bywało więcej.

¹⁾ Grać w juru: ukryć się, by drudzy szukali, jak to bawia się dzieci.

Dr. Dworzaczek wezwany został do chorego urzędnika w jednym z miasteczek przy kolei. Pojechał. Został biedaka już konającego... żonę bólem zlaną drobną dziatwę, a jednym rzutem oka ogarnął, że tam dostatku nie było.

Chory umarł nad ranem. A pociąg dopiero około południa odchodził.

W parę godzin po tej śmierci, Dworzaczek nagły, rozpaczliwy jęk posłyszał... i zapytał starej sługi coby to było?

— Ot, wielmożny panie konsyliarzu—odrzekła zapłakana, miejscowy doktor przysłał rachunek, a gruby, i żąda niegrzecznie, by biedna pani zapłaciła mu zaraz. To też dziw, że jej serce nie pękło.

W Dworzaczku oburzenie zawrzało. Kazał sobie przynieść ów rachunek, niby do przejrzania. Włożył żadaną należność w kopertę i koledze odesłał. Poczem odjechał cichaczem, a rozumie się, że o własnym koszeie.

Doktor Dworzaczek miał siostrę przy sobie, pannę Paulinę, późniejszą doktorową, Dybkową, osobę nadzwyczaj miłą, wykształconą przy takim bracie, która wdziękiem łagodności i dobroci pociągała wszystkich. I mieszkali przy nim bracia, Jan, Karol i August, którego sam osobiście, z najwyższem staraniem kształcił, że egzamin abiturystencki złożył potrafił. Zatem już i to gronko rodzinne nader przyjemne stanowiło towarzystwo. A do tego łączyli się niekiedy i wybrańcy umysłowi, znamienitsi obywatele wiejscy i t. d.

Sam doktor Ferdynand, nadzwyczaj żywy, mówiący pięknie, znający wszystko, już wystarczył do zapelnienia i podniesienia rozmowy każdej.

Pamiętam jeden nadzwyczajny zajmujący wieczór. Byli na nim państwo Korzeniowscy z córkami; Antoni Muczkowski, Antoni Szateński, dziś członek Senatu, i dr. Chałubiński. Z nami przybył Gustaw Franke, teolog protestancki, o którym tutaj słów kilka powiem.

Młody ten człowiek, rodem z Dessau, skończywszy wszechnicę berlińską, podał się do gazet, jako nauczyciel. Funduszów z domu nie miał żadnych, a otrzymanie posady jeszcze w dalekiem polu. Mógł udzielać, prócz zwykłych nauk, język francuski, angielski i muzykę, którą znał dobrze teoretycznie. Senator Pochwisneff z Petersburga, czyli Moskwy, potrzebował właśnie takiego indywiduum. Spodobala mu się dość okazała powierzchowność Franke'go i zrobił z nim układ: sześćset rubli rocznie i wygody wszelkie. Za dni kilkanaście mieli wyjechać, i senator zażądał, by przyszły gubernator synów zaopatrzył się w garderobę odpowiednią domowi jego. Sprawił sobie zatem kilka garniturów i t. d., na co mu pryncypał dał pieniędzy, Franke zatem w przeciągu dni kilku, szczęśliwy, w berlińskiego przetworzył się modnisią. Poczem wyjechali.

Przybyli do Warszawy, gdzie senator miał zastrzymać się dni parę, i stanęli w „Hotelu Krakowskim“ przy ulicy Bielańskiej.

Franke ustroił się i wyszedł na miasto. Warszawa podobała mu się bardzo. Wstąpił do „Caffé

français“. Znalazł tamże mnóstwo dzienników niemieckich, francuskich, angielskich. Zabawił się wybornie. Wypił doskonałej kawy i zjadł ciastko wysmienite. Dnia następnego powtórzył to samo. Senatora mało w tym czasie widział, bo ten ciągle był zajęty.

Dnia trzeciego, gdy teolog znowu z przechadzki jakiejś do hotelu powrócił, zastał pokój pana senatora pustym i czyszczono go właśnie. Zapytał o swojego pryncypała: „Wyjechał!“ — „Dokąd“, „Do Petersburga“. Zdumiał i własnym nie dowierzał uszom. Gdy w tem nadchodzi jakiś urzędnik policyjny z wiadomością: „że pan senator przekonał się, iż pan kandydat teologii Franke nie może być przydatnym na nauczyciela synów jego, ponieważ ma idee przewrotne i na fortepianie niedość gra dobrze, zatem zrywa z nim wszelką umowę i wyłożone pieniądze zostawia mu jako wynagrodzenie za czas, który spędzili z sobą.

W biednego teologa jak gdyby piorun uderzył. Ale cóż miał począć? — Jakże miał sobie poradzić? Urzędnik policyjny uklonił się z uśmiechem ironii i wyszedł. Cóż miał począć? Gdzie szukać ratunku? W obcym mieście, w obcym kraju, wśród obcych! Nigdzie! Nigdzie, niestety! Wbiegł do swojego pokoiku. Drzwi zamknął za sobą, rzucił się na łóżko, i płakał jak dziecko.

Pozostały mu wprawdzie ładne garnitury: czarny, granatowy, brązowy; surduciki zgrabne, kamizelki piękne, bielizna wykwinna, rękawiczki jasne, paltot nowy, ale jedyne półtora złotego w kieszeni!

Napłakawszy się serdecznie, w położeniu nie-

szczesnem „helpless i friendless”, jak mówią Angli-
cy, gdy i młody ozwał się żołądek, oczy wymył,
wystrychnął się w świeże suknie, i poszedł do „Caffé
français”, by ostatnie półtora złotego przehulać,—
a potem spuścić się na opatrność i zrządzenie
Boże.

Kawa głodnemu, bez obiadu, smakowała wy-
bornie. Posiliwszy się zaczął uważny przegląd osób,
czytających dzienniki. Niebawem mężczyzna, młody
jeszcze, okrągłej i pełnej twarzy, zdrowej cery,
z małemi faworytami czarnemi, o krótko przyszyrzo-
nych włosach, w okularach złotych, wziął „Na-
tional-Zeitung” i czytać począł.

W to mi graj! Franke, mając go na oku, zbli-
ża się zręcznie, przysiada, podejmuje „Breslauer-
Zeitung”, i wreszcie coś tam do jegomości w oku-
larach zagadał. Ten odpowiedział mu uprzejmie
piękną niemczyzną. Zawiązała się rozmowa, i opu-
szczony kandydat teologii, niezwłoczną, całą swoją
wypowiedział mu dołą, czyli raczej niedołą.

Tym panem był Henryk Lewestam, który pana
Gustawa Franke przyprowadził wprost do nas, nie-
wiedząc co począć z opuszczonym.

Zastali u nas kilka osób, a wszyscy porzuc-
nego niegódnie przez Moskala—Niemca, szczerem
otoczyli współzuciem.

Mieszkali przy nas wtedy dwaj bratankowie
Augusta, synowie zacnego Klemensa Wilkońskiego.
Starszy już kończył gimnazjum. Zajmowali dwa
pokoje od tyłu. Mąż mój zatem ofiarował Fran-
ke'mu tymczasową gościnę, i pomieścił go z bra-
tankami.

Lewestam zaś i inni postarali się o kilka lek-
cyi dla niego: języka i literatury niemieckiej.

Przez wdzięczność, przez sympatyę, a może
i przez miłość nauki, pragnął Franke szczerze a gor-
liwie nauczyć się języka polskiego. Zaczął od „wo-
kabal” i wymowy słów, których się uczył. I zaba-
wnem było, że ciągle, bez przerwy niemal, ćwiczył
się półgłębno w wymawianiu wyrazów polskich.
Czynił to, idąc przez ulicę, po schodach. A w poko-
ju siadał na uboczu i szeptał sobie ciągle: szczęście,
szczęście i t. p.

Wielu z bywających często u nas, jak doktor
Chałubiński, Antoni Muczkowski, Radomicki, Za-
krzewski Walenty, Ćwierczakiewicz, Wolski, znali
dobrze język niemiecki i literaturę, miał z nimi
przeto wielką przyjemność i podziwiał umiejętność
Polaków.

Pragnął i piśmiennictwo polskie poznać, przy-
najmniej beletrystykę, i na mnie to zadanie przy-
padło. Musiałam mu tłómaczyć wiele, dosłownie,
a czyniłam to, o ile potrafiłam, sumiennie. Unosił
się nad wszystkim, powtarzając: *Köstlich, Wun-
dervoll, Reizend*. I podziwiałam zaprawdę cierpli-
wość jego, z jaką mnie słuchał, siedząc z założone-
mi rękoma, nawet bez cygara, po godzin parę.
A przyznać potrzeba, że wszystko zrozumiał łatwo
i zapamiętał wybornie.

Marzeniem jego było przetłómaczyć „Ode do
młodości” Mickiewicza, która nie w siódme, ale
czternaste uniosła go niebo. Był młody—i należał
jeszcze do *Junge Deutschland*.

Musiałam mu i polskie śpiewać piosenki, które zapisał sobie odrazu umiejętnie i bez błędu.

Na owym wieczorku u doktora Dworzaczka, przeczytał świeżo przez siebie przetłómaczone: „Gdyby orłem być!” Maurycyego Gosławskiego. Przetłómaczyłam mu to oczywiście, o ile umiałam, co przecież zrozumiał i rzeecz udała się wcale. Korzeniowski bardzo niemiecki przekład pochwalił. A Dworzaczek kazał go sobie raz wtóry przeczytać. Otóż te zwrotki:

„Könnt ein Aar ich sein,
Könnt' ein Falk' ich sein!
Flugeskühn empor mich hebend
Ueberm Vaterlande schwebend!
Könnt ein Aar ich sein!

Könnt ein Stern ich sein —
Himmelslind und rein,
Wie in Maiesnächt' gen Dunkeln,
Ueber der geliebten funkeln,
Bis zum Frührothschein!

Oder nebelumhüllt,
Liebestrauerfüllt,
Wie in Seeskrystallinen Fluthen
Mich in ihren Thränengluthen
Spiegeln keusch und mild!

O mein Vaterland,
Süsses Heimathland!
Zeig dich mir, du Land der Leiden,
Land auch meiner Jugendfreuden,
Theures Polenland!

Zeig dich mir! — doch nein:
S' darf ein Traum nur sein! —

Kreisen Adler — schwinden Sterne —
Freiheit todt — die Liebste ferne —
Ringsum Thränenpein!

Weh uns, Weh, o Herz,
Fühl's und brich vor Schmerz!
Vaterlands und Lieberverweiste,
Theure, weine und im Geiste
Nimm mich an dein Herz!

Dorobił nadto jedną jeszcze zwrotkę, ale... tej już nie domieszcza.

Wszechęła się następnie dyskusya religijna, nie pomnę co ją nastęczyło. Dr Chałubiński i Szateński gorliwie i z prawdziwem przyjęciem się podnosili katolicyzm wobec protestanckiego teologa. Mianowicie też Szateński z niezrównaną wymową, głęboką nauką, przekonaniem i miłością. Przyszły pastor wystąpił ze zwykłemi zarzutami katolicyzmowi czynionemi, które jednakże Szateński zbił i pokonał wszystkie, że młody teolog aż zamilkł.

— *Ein kleiner Mann*—wymówił, siadając przy mnie, bo pan Szateński nizkiego jest wzrostu—*aber ein grosser Dialektiker! Ein solcher Verstand ist aller Ehren werth.*

Jaki zacięty i wraży kościołowi naszemu protestant, byłby zapewne dyskusyę zażarcie prowadził dalej—Gustaw Franke jednakże nie należał do takich. A raczej zaliczał się do stronnictwa, które w protestanckim kościele skłania się do katolicyzmu. Sam wiele mówił o tem i sprowadzał sobie książki, traktujące w tym duchu, ciekawe bardzo.

Po dyskusyi teologicznej, August zadeklamał... podobno Improwizacyę Konrada. Potem mó-

wił nam Korzeniowski głosem nieco przyciszonym, a harmonijnym dziwnie, jakiś ustęp prześliczny z poezji swoich. Gdy Franke zasiadł w kąciaku i poszeptywał sobie przez zęby któryś pochwycony wyraz polski.

Rozeszliśmy się po północy. Po wykwintnem przyjęciu wskrzeszeni na umyśle i duchu.

Pan Antoni Szateński jest rodem z Poznańskiego. Pisał „Sur la charité” ale tego nie ogłosił drukiem. Podobno, że dawniej przetłumaczył i wydrukował jakieś techniczne dzieło.

Franke, słysząc o życiu dra Dworzaczka, widząc i słysząc zwykł był powtarzać: *Solch einen Mann giebt es in ganz Deutschland nicht*“.

Młody a chętny kandydat byłby się niezawodnie języka naszego nauczył i z pożytkiem może. Ale nadeszły dni marcowe i policya warszawska kazała mu, jako cudzoziemcowi, jako Niemcowi, wyjechać bez zwłoki. Pożegnał nas z żalem wielkim, bo aż rozplakał się nawet.

Inny jego kolega, także kandydat teologii, który był nauczycielem w domach obywatelskich na wsi, niejaki Leveque, rodem z Berlina nauczył się gruntownie języka polskiego. A twierdził wymownie: że język polski jest po greckim, z którym go porównywał, najwięcej filozoficznym i unosił się wielce nad pięknością jego.

Nieźrównanej przyjemności a zarazem i pouczające bywały pogadanki nasze w rodzinnem kółku Dworzaków.

Wśród gawęd o różnych, przeróżnych przedmiotach, mówiliśmy często i o duchach... o ukazywaniu się duchów. Przedmiot ten pociąga mnie szczególnie i dr Dworzaczek lubił także w tej materii rozmowę. A mówił, rozumując głęboko. Nie wypowiedzianie zajmuje słyszeć człowieka rozumu i nauki, mówiącego o tej kwestyi. To też rozmowa taka nieraz pociągnęła się długo.

Obywatel z Siedleckiego pan S. rozumny, bynajmniej nie marzyciel, raczej realista, opowiadał nam:

— Gdym pracował w banku, mieszkałem z przyjacielem, młodym Litwinem, przy ulicy Senatorskiej. Mieliliśmy duży pokój z jednym środkowem, szerokiem oknem, wprost drzwi od przedpokoju. Łóżko przyjaciela mojego stało pod ścianą z jednej strony, a moje po drugiej. Jednej nocy budzę się nagle, a zbudziło mnie światło i porwałem się, sądząc, że to już rano, księżyc w okno całym świecił blaskiem, a strumień tegoż odbijał się na drzwiach przeciwległych. Natomiast łóżka nasze pozostawały w zmroku... Wtem otworzyły się drzwi od przedpokoju... Mniemałem, że służący wchodzi i zobaczyłem szczupłą postać wiejskiego dziewczątka, ale nie w stroju naszych okolic. Pomknęła zwolna ku przeciwnej stronie... i zniknęła w półcieniu. W tejże chwili mój przyjaciel zrywa się, klęka i pacierz mówi. Patrząc zdumiony na to wszystko — a wreszcie zawołałem go po imieniu.

— Czego chcesz? — pyta on mnie. — Po cóż wołasz?

— Cóż ciebie zbudziło?

— Sen...

— I modliłeś się?

Tak...

W kilku słowach opowiedziałem mu widzenie moje.

— A!—zawołał—to jest szczególne! szczególne!... W domu rodziców moich jest sierotka wiejska, którą siostry moje wychowują i którą kochamy wszyscy..! Snilem, że umarła...

Musiałem mu opisać widzianą dziewczynkę... Rozmawialiśmy tylko o tem i już nie usnęliśmy więcej.

W tydzień potem odebrał przyjaciel mój list z domu, w którym mu z żalem donosiły siostry, że ulubiona sierotka umarła... a właśnie onej nocy.

Dworzaczek twierdził, że i w niedowiarku, zaprzeczającym wszystkiemu, tli pewna wiara w rzeczy nadprzyrodzone, lubo że do takiej niedorzeczności nie przyzna się nigdy.

— W towarzystwie jednym—opowiadał—było dwóch dawnych wojskowych, przyjaciół serdecznych, kapitan i major. Wszczęła się rozmowa o duchach, jak oto dziś u nas. Każdy coś opowiadał. Kapitan wierzył w duchy, a major wyśmiewał wszystko i wyrzekł: „Chciałbym kiedy zobaczyć ducha koniecznie, oj i dalżeżbym mu!“ „Przeraziłbyś się na śmierć?“ „Ja?“ stary wojak śmiechem wybuchnął. „Będę sam ducha udawał i nastraszę cię, zobaczysz“. „Dobrze. A jeżeli tego pokażesz, dam ci konia z rzędem.“ „Nie to! lecz dasz mi swoją strzelbę lionską“. Zgoda!“ „A ty, skoro wygrasz, wybierzesz sobie co zechcesz“. „Dasz mi tabakierkę po królu Joachi-

mie“. „I na to zgoda!“ Zakład stanął. Czasu oczywiście nie naznaczono. Uplynęły tygodnie i wszyscy o tym żarcie zapomnieli. Raz w nocy szmer jakiś zbudził kapitana. Północna godzina wybiła... A gdy spojrział, zobaczył wysoką, białą postać blisko łóżka. „Antosiu!“—zawołał, przypomniawszy sobie zakład „zachciało ci się figielka. Nie wierzę, idźże sobie spać!“ Biała postać stała. „Nie trudź się daremnie, idźże sobie“. Postać pozostała. „Ej, bo mnie nudzisz. Zrzuć prześcieradło! Widzisz przecie, że nie wierzę w ducha!“ Postać jak stała, tak stała. „Niecierpliwisz mnie, na honor! Dość tego blażeństwa! Zaprzestań komedyi!“ Postać ani się ruszyła. „Bo strzełę, ktokolwiek jesteś.“ Postać ani zadrgnęła. „Słowo honoru, że strzełę!“ i sięgnął po strzelbę nad łóżkiem. Postać stała. „Strzełę! raz... dwa... trzy!... W imię Boga zaklinam!... raz... dwa... trzy!“... Strzał padł. Postać ani się zachwiała. „Ha!“ porwał się kapitan, potem umilkło wszystko. Cisza potrwała przez chwilę. Potem rozległ się śmiech głośny i major z przyległego wybiegł pokoju. „Karolu—zawołał—przyznaj, żeś się nastraszył. Prześcieradło wisi przed tobą, a kulę ze strzelby wykreściłem. Nie gniewaj się, kochany!“ Kapitan nie odpowiedział. „Gniewasz się?... Chciałem cię przekonać tylko. Wybacz, Karolu!“ Major pochwycił rękę przyjaciela... Kapitan nie żył¹⁾.

— I cóż go zabiło?—zapytałam.

¹⁾ Zdarzenie to opowiedziałem w „Czytelnicy dla młodzieży“ nr 28, rok 1860. Lwów.

Dworzaczek ramionami ruszył.

Często przeczytaliśmy głośno coś zajmującego. A lubiłam posłuchać sądu Dworzaczka, zwłaszcza też o poetyckich utworach, ze stanowiska niezwykłego i wyższego zupełnie.

Inne znowu razy mówiliśmy o muzyce polskiej jak jest wielostronna, ile to niewyczerpanych zawiera skarbów, jakich może żaden inny nie posiada naród. Zwróciliśmy uwagę i na pieśni kościelne. Dworzaczek zna niemal wszystkie po naszych śpiewane kościołach. Unosił się nad nimi i sam nucić je począł. Było to zaprawdę rozrzewniającem.

Dla niego żaden przedmiot nie jest zbyt błahym do rozmowy, bo o wszystkim rozmawia chętnie i z życiem. A wszystko o czem mówi, nabiera znaczenia i wdzięku.

Mieszkając w Paryżu, przyjaźnił się i przestawał wiele ze Chopinem. Opowiadał nam:

„Dnia jednego Chopin fantazyował. Jam leżał na sofie, słuchałem go z rozkoszą i dumalem. Nagle... muzyka jego zadźwięczała piosnką, wdzierającą się w głąb duszy... znaną... swojską... ukochaną... z domu rodzinnego... z lat dzieciństwa... serce uderzyło tęskno, oczy lza nabiegły... Porwałem się. „Fryderyczku! — zawołałem—tę piosnkę śpiewali mi przy kołyszce... śpiewała ją matka... Mam ją w duszy mojej, a ty ją wygrałeś!“ Obejrzał się z dziwnym wyrazem. Oczy jego jaśniały, palce przebiegały zlekka... „Ty nigdy nie słyszałeś tej nuty!“ — wymówił. „Mam ją przecie tutaj! tu w duszy!“ —

zawołałem, przyciskając pierś dłonią, „Och!“ powstał i objął mnie za szyję „sprawiłeś mi rozkosz nieokreśloną, słowem niewypowiedzianą! Ty nie znałeś nigdy tej piosnki... tylko jej ducha: ducha polskiej nuty. A jam szczęśliwy, że go ujął i wyśpiewać potrafił...”

Gdy męża mojego uwięziono w cytadeli—znalazłam w domu dra Dworzaczka prawdziwie przyjacielską pociechę, radę zdrową i pożyteczną.

— Gdy pani będzie ciężko na sercu, przychodź do nas!—powtarzał zacny, pocziwy doktor—wypowiesz wszystko, pożałujemy, to i lżej potem będzie!

I też tak było zawsze.

Dworzaczek już całkiem wtedy zawiesił praktykę lekarską, ale, jako uproszony brał często udział w naradach. A nieraz doktora Maleza u niego spotkałam i innych lekarzy. W różnych także rodzinnych sprawach i sporach, wiele osób jego zasięgało rady, której z serca, sumiennie udzielał — nie oglądając się na nic.

Bywał u niego radca stanu Ignacy Badeni i czytywał mu prace swoje i tłumaczenia dzieł ascetyczno-filozoficznych z francuskiego. Był to nader przyjemny człowiek. Opowiadał ciekawe rzeczy z przeszłości i opowiadać umiał. Lubił poezję, sam niekiedy poprobował wlotu i w jednej z chwil takich napisał do Albumu:

Częstokroć tam, gdzie wzrasta oświata i sztuka —

Zwykły słabnąć serca czucia — ich święte natchnienia.
Jest jednak w świecie światła oddzielna nauka:

Przy rozmowie zachować wszystkie sere odcienia.
O tej nauce dzisiaj wspomnieć mogę śmiało,
Bo mi się z Toba, Pani! zapoznać udało“.

Jako weale oryginalną przytoczyłam tu tę miłą dla mnie pamiątkę.

— Och! Och!—zawołał szanowny doktor, gdy mu pan radca stanu wiersz swój przeczytał—toćże i ja pani coś na pamiątkę zapiszę:

Podjął kartkę i nakreślił — niestety, piśmem mało czytelnem, ale tem droższem dla mnie.

„Gdybym był poetą, napisałbym Pani wierszy kilka własnych. Gdybym był malarzem, namalowałbym Pani obrazek. Gdybym był filozofem, zadałbym Pani nadchmurną, przyjemną, niezrozumiałą zagadkę, abyś przez całe życie ją rozwiązując, zawsze o mnie myślała. Cóż więc dam Pani? Oto receptą i szczere, przyjacielskie życzenie, abyś pierwszej części mojego podarku choćby była najskuteczniejsza, nigdy nie potrzebowała.“

W roku 1855, gdym go odwiedziła, ucieszył się mną bardzo.

— Gdyby mnie rodzona odwiedziła siostra, nie mógłbym ucieszyć się nią więcej, jak panią!—powtarzał, a wyrazów tych nie zapomnę nigdy.

Wrażeniowy jego umysł i pragnącą duszę zajmowały szczególnie wirujące stoliki i ekierki. Mówił ze mną wiele, bardzo wiele o tem, a z jakim wyrozumowaniem, z jaką badawczą nauką — i prawdziwie religijnem uczuciem. Napisał także głęboką pod tym względem rozprawę, zajmującą niezmiernie,

analizując wyrocznie Sybill greckich i tajemnice eleuzyjskie. Czytałam rzecz tę w rękopisie, a nie wiem czyli gdzie jest drukowaną.

Spotykałam w domu jego wtedy mniejwięcej te same osoby. Paulina była zamężną. A małżonek jej, doktor Dybek, godnym był takiego szwagra. Brat Jan z miłą i dobrą ożenił się osobą. Szczęście i harmonia w tej zacnej trwała rodzinie.

Ale, niestety! w roku 1863 dr. Dybek wywiezionym został do Ufy i towarzyszyła mu żona, z kąd dopiero przed dwoma wrócili laty. A młodszy, wiece ukochany brat August umarł...

Doktor Ferdynand Dworzaczek ma z twarzy nadzwyczaj wiele podobieństwa z Tadeuszem Kościuszką. I popiersie jednego możnaby wziąć za popiersie drugiego.

Pułkownikostwo Paszkowscy.

Skromne, nieliczne bywały wieczorki u pułkownikostwa Paszkowskich, ale bardzo przyjemne, swobodne i pożyteczne.

Pułkownik, mąż rzadkiej prawości, z pojęciem zdrowem, praktyczny i w prawdziwym świetle widzący wszystko, Polak z gorącym uczuciem, zarządził w r. 1831 fabrykę prochu w Rudzie obok Marymontu. Napisał „Instrukcyę dla kanoniera“. Pisywał do pism czasowych w różnych przedmiotach poważnych, ale także i opowiadania humorystyczne.

Przez lat kilkanaście utrzymywał pensyę mężką, z której wielu zacnych i prawych wyszło obywateli, bo ich pouczał powinności względem kraju i rodaków starał się ich młode rozjaśnić umysły i rozegrzać serca. W chwilach wolnych zwykł im zawsze coś przeczytać: jaką piękną poezyę, artykuł historycznej lub naukowej treści, dodając objaśnie-

nia właściwe; jaki ustęp patryotyzmem tchnący — a niekiedy i humorystykę Augusta. Gdy z nimi na przechadzkę wyszedł, to i z tego korzystał czasu, by ich w pogadance treściwej, wesołej, pouczyć czego. Byli też wszyscy całą do niego przywiązani duszą.

Miły, jowialny, miał zawsze coś do powiedzenia, czem zajął i zabawił, bo na humorze nie zbywało mu nigdy. Mąż mój szanował i kochał go. Gdy do nas przychodził, zwykle stukał laską w przedpokoju, wołał: „Hej! A jest tam chirurg filozofii w domu?“ Albo: „Redaktor! Redaktor!“ siadywał po godzinach całych gawędził, baraczkował, ale zawsze z pewnym celem.

Pozostawił nader ważny rękopism: „Życiorys generałów, których nazwiska są wyryte na pomniku na Saskim placu“.

Napisał mi w Albumie:

„Moja Filozofia.

„Opatrzność powołała człowieka do społeczności, przez bojaźń, przez uczucie własnej niemocy i on tylko zbiorowo, w połączonych siłach, pozna je swoją dzielność, walczy z naturą: zdobywa na niej tajemnice, jej siły obraca na swoją korzyść, krzepi się i rozrasta. Skoro się te siły rozpraszają i nie są ku jednemu celowi zwrócone ludzkości, tracąc swoją dzielność, chromieje i staje się ofiarą pojedynczych chęci, żądz i namiętności. Siły umysłu pojedynczego człowieka są: rozum, pamięć, wola, czucie, imaginaeya, rozsądek... a w użyciu ich do zbiorowego są mu jeszcze dane: Wiara, Pokora, Miłość. Jeżeli poznanie prawdy jest jego

podziałem, a od tego właśnie pomyślność bytu zależy, on ją tylko może poznać w połączonych siłach... Imaginacja może obłąkać jego rozum, jeżeli jej nie strzeże rozsądek. Fantazja uniesie imaginację, skoro jej nie wspierają Wiara, Pokora i Miłość. Jest to właśnie skutek Pychy z braku Wiary, Pokory i Miłości w indywidualach, kiedy w człowieku zbiorowym, jedni jak np. uczeni, tworzą osobny język, którym się sami nie wiem tylko czy szczerze rozumieją, z kąd rodzi się kasta umysłowa przed polityczną. Oni to i z matki natury robią świątynię Izdy, której ołtarz coraz nowymi zdobią teoryami, a chociaż ludzkość często inną drogą w nią się wtajemnicza i robi bez nich potrzebne dla nich odkrycia i wynalazki, oni zowiąc to przesądem, nie przestają stanowić wyłącznej kasty jej kapłanów. Pomyślny byt ludzkości nie jest w fantastycznych wygodach indywidualów, ale w umiarkowaniu żądz naszych. Rozum je podlega, rozszerza imaginacja; lecz pokora stawia im granice. Kiedy On, wskutek swojej samodzielności, usiłuje stać się wyłącznością, niezależnością, miłość go ostrzega, że on winien być tylko zadatkiem zbiorowego człowieka i gdy w jego usiłowaniach ona mu nie towarzyszy, on nie osiąga prawdy. Tak więc człowiek wszystkimi siłami w połączeniu może pomyślnie dobijać się prawdy. Lecz gdy on w wychowaniu swoim, uprawy którejkolwiek bądź siły zaniedbał, sam wtenczas jako umysłowo-ułomny, nie jest prawdą i prawdy życia nie może osiągnąć, staje się przewrotnym, podstępny, chytrym, zdračnym... słowem duch-szatan fałszem ludzkości...

Jedyną moją prośbą do Boga jest aby ta filozofia była zasadą mojego praktycznego życia, a nie samego rozumowania tylko.

Józef Paszkowski.

10 listopada 1844.

Pani Kornelia z Krajewskich Paszkowska, siostrzanka generała Klickiego, jedne z mężem dzieliła zapatrywania, i podobno zgodniejszego nie było małżeństwa. Pisywała także różne artykuły, ale bezimiennie. A jej główne z zamiłowaniem zajęcie stanowiło malarstwo. Mianowicie też krajobrazy, w których dużo jest prawdy i wdzięku. Przyjemna, dobra, pełna względności, wykształcona, skromna, szczerza i naturalna, kochać kazała się tym wszystkim, którzy ją znali. Mąż jej lubił, że zajmowała się pędzlem, i gdy go było zapytać:

— Cóż robi pani pułkownikowa?

Odpowiadał z wyrazem zadowolenia:

— Maluje.

Żyła przez lat wiele w serdecznej przyjaźni z generałową Sowińską, której pogrzeb i cześć jej bohaterskiej pamięci małżonka oddana, tak historycznego nabrały rozgłosu.

Można u pułkownikostwa było spotykać pierwsze naukowe powagi: znamienitego malarza Januarego Suchodolskiego; obywateli wiejskich starych i młodych. Tam poznałam panią wojewodzicową z Wąsowiczów Czarnecką, jedną z najprzyjemniejszych Polek, umiejętną malarkę i muzyczkę z wyższym poczuciem. Córkę tejże, panią Bożydar-Podhorodeńską. Generałową-Maletzką Mallet de Gran-

ville wraz z córką, Waleryę Morzkowską, obiedwie znane jako uzdolnione autorki.

Po nagłym wyjeździe naszym z Warszawy w roku 1851 listy pułkownikowej Paszkowskiej stały się dla mnie pożądane szczególnie, bo mnie dość żywo w trybie warszawskiego bycia, w kole znajomych i przyjaciół tamtejszych utrzymywały. Ona pierwsza rozpisywała się szerzej o Deotymie i przesyłała mi jej improwizacye, gdy pojawiła się która.

Jadwiga Łuszczewska — wyraziła się — to jest zjawisko prawdziwe w naszym kraju. We Włoszech, w dawnej Grecyi, pod pięknem niebem, w południowym klimacie, takie geniusze jawiły się niekiedy. Mnie dotąd podobały się najwięcej: „Modlitwa“, „Sen“, „Krucyaty“, której kochanej Pani Paulinie załączam. Ale „Snycerstwo“ „Malarstwo“ wydają mi się jako rymowana encyklopedia. Za to prześlicznym i najpoetyczniejszym jest „Ptak niebieski“, którego kochanej pani w przyszłym nadesłę liście, bo go cenię wysoko. Ale to nie jest improwizacya.

„Na przeszłym poniedziałku zadała jej pani Augustowa Potocka temat: „Kamienie“. — Wszysey pomysleli: „Kamienie“, rzecz tak martwa, cóż ona z tego wysnuje? Pomyślała chwilę. Zagłębiła się we wnętrze ziemi, a słuchacze za nią. Przebiegła warstwy, pokłady. Zatrzymała się, dobrała rymu do wiersza. Oho!... Ucieka. Czy nas tak zostawi? — Nie!... Idzie dalej, natrafia, wydobywa drogocenne kamienie, porównywa, wspomina przypisywane im własności na wschodzie: owe talizmany, amulety słynne. Szuka kamienia filozoficznego, długo szuka błąka się, nakoniec... opuszcza wnętrze ziemi, coraz

wyżej się wznosi, zawsze szukając i tak wyprowadza słuchaczy, wskazuje im wysoko, wysoko, świątynię, kościół... bo tam jedyna, prawdziwa mądrość!..“

„Warszawa 31 stycznia 1854.

„Stoliki, ekierki ciągle tu odbywają swoje operacye. Mało jest osób, któreby próby nie robiły. A było to, mówię i powodem do smutnych wypadków pomieszania zmysłów z obawy śmierci, wypukanej stołową nogą.

„Powiadano mi, że panna N. była jasnowidząca. A bardzo wysiła i wycieńcza osobę, pogrążoną w śnie magnetycznym, gdy jej czynią pytania. Otóż były panie takie, które ją zapytywały: jaką suknię mają włożyć na wieczór tańczący!... Widać w myśli zrobienia podboju. Jestże to sumienie co Opatrzność ześle w pomoc rodzajowi ludzkiemu, to ludzie na złe używają, drą się gwałtem do owocu zakazanego i coraz im gorzej, a gorzej, przy większym rozumie i oświacie...“

„Dziś właśnie był u mnie kanonik Topolski i wyszukaliśmy w biblii Wujka dawnych proroków. Ozyasz mówi: „Lud mój pytał się drewna swego, a kij jego odpowiedział mu. Bo duch wszeteczeństw zwiódł je, i wszeteczeństwo płodzili od Boga swego.“ Rozdz. IV.

„A więc już to kiedyś było, moja droga Pani Paulino...“

W r. 1855 mieszkali pułkownikostwo Paszkowscy w pawilonie w pałacu Krasińskich, przy

Krakowskiem-Przedmieściu i przyjmowali w piątki. Bywali Wójcicy, Korzeniowscy, pp. Lewocka, Łempicka, Seweryna Pruszkowa, z Lindów Gorecka, z G. Grzegorzewska, generalowa Maletzka, Walerya Morzkowska, Wasilewskie, Julia Janiszewska, Józefa Śmigielska; państwo Meleniewscy i Kuczalscy z Ukrainy; Apolinary Zagórski, Moczulski z Wołynia, Fudakowski z Litwy, Lebel urzędnik banku, dawny domu przyjaciel i t. d.

Bywał często Zdzisław Suchodolski, syn Jana, wielkich zdolności i umysłowo wykształcony, znamienny dziś malarz historyczno-religijny. Kształcił się w Niemczech, we Włoszech i wiele za granicą przebywał. Wtedy był to piękny młodzian, pilnie studiom rysunku oddany, bez zarozumienia, a z wielkim poczuciem i miłością sztuki. Lubił mówić o Ary-Scheferze, jako swoim ulubionym mistrzu i pięknych jego obrazach, którego jeden z krytyków niemieckich nazwał Nowalis'em francuskiego malarstwa, dodając: nie miał on Kunstlertemperamentu, ale miał Künslergemüth. Ary-Schefer umarł 5 czerwca 1854 r. w Paryżu.

Przytoczę tu jeszcze kilka zajmujących ustępów z listów pani Kornelii Paszkowskiej.

Warszawa 29 grudnia 1855.

„...Pani z G. Grzegorzewskiej artykuł „O wpływie kobiet na cywilizację“, w „Bibliotece Warszawskiej“, podobał się bardzo. A jest to wstęp dopiero do obszerniejszego dzieła. Panna Józefa

Śmigielska zaczęła go w jednym punkcie w swojej korespondencji z Lubelskiego. Jeżeli go już czytałaś, to objaw mi zdanie swoje.

„...Lesser jest nader użyteczny artysta. Też jego szkiców zbieranych na Śląsku jest nieoszacowanym zbiorem pamiątek naszych, krajowych i historycznych”.

„Ma tutaj także wychodzić „Czytelnia dla ludu”. Jest to pomysł dawno już praktykowany, ale zawsze odkładany. Teraz pani Petrow, która nader jest czynną i obfitą w najlepsze chęci dla kraju, w którym się zaklimatyzowała, usiłuje doprowadzić do skutku. Ona „Magdalenki” założyła i oddała pod opiekę miasta. „Szkółkę dziewcząt”, którą także pod opiekę pań możnych starała się oddać, bo sama nie jest tak majątną, słowem, gonią się u niej pomysły. Jest ona dla dobroczynności tem, czem Szeinkeller był dla spekulacji krajowej i materialnych ulepszeń. Śmieje się kochana Pani z mego zastosowania, ale czy nie jest tak? Jednym Bóg dał pomysły, drugim wykonanie onych, i rozwijanie ich dalsze. Poczciwy Jachowicz zaraz mi na myśl przychodzi: on i pomyślił, zrobił, dokonał, i dziś nie upadłszy na duchu, zostawił tak dobrze swoją szkołę, że ciągle z niej użyteczni ludzie wychodzą”.

„Warszawa 27 listopada 1856.

„...Wybraliśmy się w połowie lipca w Lubelskie do moich krewnych. Lecz nie doznałam przyjemności, jaką sobie obiecywałam, widząc męża cierpiącego. I projekta zwiedzenia Hrubieszowskiego, Zamościa i piękniejszych okolic naddnieprzańskich

nie mogłam doprowadzić do skutku. Byłam tylko gdzie bliżej. W Chełmie naprzykład malowałam wieże, których dotąd dwie pozostało w pewnej odległości od Chełma, a było ich cztery. Niesie podanie ludowe, że to z pogańskich czasów, bo w aktach pozostałych niema żadnej wzmianki. Byłam w Krupem ¹⁾, i w „grobowiskach”, gdzie na szczycie obrosłej lasem góry, stoi piramida. Na jaką była wystawiona pamiątkę, i to niewiadomo. Może jakiemu rycerzowi poległemu mężnie, może oznaczala cmentarz aryański, bo Krupę miało dostać się po Samuelu Zborowskim w ręce Aryanina Orzechowskiego.

Pięknie się trzymają ruiny zamku w Krupem, a cała posiadłość zyskała bardzo od lat ośmiu, odkąd przeszła w ręce powinowatego kochanej Pani, pana Ludwika Słomińskiego ²⁾.

Będąc w Lublinie w sierpniu, u gubernatorstwa Maćkiewiczów, przyszli właśnie zameldować gubernatorowi, że ukończono plantować plac, na którym stały dotąd rumowiska kościoła św. Michała, w którym to miejscu objawił się ten święty Leszkowi Czarnemu we śnie, dodał odwagi do stawienia się

¹⁾ Ruinę zamku Krupskiego, wielką dziś jeszcze malowała dla mnie pani Paszkowska. Wiadomo, że obronny ten zamek postawił Samuel Zborowski, podobno na przekór Zamościowi Zamojskiego.

²⁾ Poprzednik, dziedzie, rozkopawszy kurhan jakiś, znalazł w nim ludzkie i końskie kości — a na tych ostatnich rząd z przyczystego srebra, z którego w Lublinie kazał łyżki zrobić!!!

Jadźwingom, nad którymi też stanowczę wonezas odniósł zwycięstwo, i na pamiątkę kościół postawił. Dla braku funduszków kościół spustoszał. Gubernator Maćkiewicz kazał postawić pomnik z napisem i dołączyć tablicę, bo tam także pochowany był na cmentarzu Sebastyan Klonowicz. Szkoda nienagrodzona, że tak niszczą się dawne pamiątki!

„Na parę tygodni ożywiła się Warszawa przyjazdem pani Ristori. Znawomity to talent zwłaszcza w rolach namiętnych, jak Medea. Ciekawa jestem czyliby dobrze oddała Andromakę lub Hermionę, w których to rolach pamiętam Ledóchowską. Patrząc na Ristori, tem bardziej winniśmy cenić Halpertową, która nie mając wzorów, taką była artystką! Pani Ristori jest dla mnie ożywioną statua grecką. Malownicze są jej pozy.

„Apolinary Zagórski, nie ma nadziei otrzymania pasportu do Włoch, albo do Egiptu, gdzie teraz posyłają na statek, na Nil. Tam zimuje Rachel dla słabości piersi...

„Warszawa 12 lutego 1858.

„...Często o kochanej Pani myślałam i mówiłam, będąc na wsi w Lubelskiem, przez trzy miesiące, bo od 23 lipca do 23 października. Widziałam się razy parę z panią Józefiną Słomińską i miałyśmy pospołu arcydługie napisać listy. Lecz, to spelzło z różnych przyczyn, o czem długo byłoby pisać. Powiem tylko, że byłam w Trawnikach, prześlicznie położonej majątności nad Wieprzem. Tak tam piękna natura, i tak wiele gustu mają państwo Słomińscy

w urzędzeniu domu, ogrodu, dziedzica, że rozkosz patrzeć, widzieć to wszystko...

„O zgonie naszego Jachowicza, wiesz pani kochana. Rodzina troskliwej doznaje opieki, co zaszczyt czyni temu wiekowi i naszemu miastu. Powtarzam zawsze, że niemożną potępiać zupełnie wieku, kraju — ludzi. Są źli, są dobrzy, tak było zawsze i będzie. Niema aniołów — niema i czartów!“...

Po śmierci męża, który życie cnotliwe zakończył 7 października 1860 r., napisała mi pani Paszkowska:

„Warszawa, 15 grudnia 1861.

„Poczuwam się do winy, że tak dawno nie zgłosiłam się do zawsze miłej mi szanownej Pani Pauliny. Wszakżeż mi przebacysz droga moja, bo pojmujesz, że po tak bolesnej stracie, niełatwo się wychodzi ze stanu odrętwienia. Trzeba oto takich ogólnych nieszczęść, silnych wrażeń, ażeby się obudzić, poczuć, że się żyje, i że się żyje ze wszystkimi: czuć trzeba i cierpieć razem.

„Mocno też chorowałam po stracie męża mojego, zwątpiono nawet już całkiem, ażebym żyć mogła... Silna moja natura jednak przetrwała w takich smutkach i cierpieniach zimę, a na czerwiec posłano mnie w Krakowskie, do Buska, które to kąpiele wróciły mi zdrowie i siły, tak, że wróciwszy do Warszawy po krótkim wypoczynku pośpieszyłam w Kaliskie, na rocznicę śmierci mego męża, pod Wartę.

„Widziałam się z panią Biernacką i wieleśmy o Tobie mówiły.

„Odwiedziwszy grób męża mego, byłam w Cielcach i Małkowie. A potem miałam sobie za święty obowiązek resztę miesiąca pozostać z żalobną rodziną Karczewskich ¹⁾ w Przechni, o mil pięć od Warty. Dziad mój i rodzice moi sąsiadowali przez lat wiele z tą rodziną...

„Dowiedziawszy się, że kościoły w Warszawie zamknięte, dopiero po dniu Wszystkich Świętych i Zadusznym wróciłam. Grobowa otacza nas cisza, przerywana szcękaniem broni i bębnow. Dzwonów nie słyszymy wcale. Czasem pienia żalobne przy wyprowadzeniu ciała nieboszczyków. Dziś odprowadzono nader zacnego i szlachetnego obywatela ziemskiego, dawnego wojskowego ucznia szkoły aplikacyjnej, Tomasza Potockiego, do kolei. Ma być pochowany w grobie familijnym w Koniecpolu. Znałam go dobrze w latach młodych jeszcze.

„Och! ciężko! Ale powiadam sobie, że ani żal, ani zmartwienie nie zabija ludzi, jeżeli do tego niema usposobienia fizycznego“...

„Pani Kornelia w lat kilka pośpieszyła za mężem, serdecznie żalowana przez wszystkich, którzy ją znali“.

Julja Janiszewska wraz z przyjaciółką swoją Józefą Śmigielską, dzisiejszą Dobieszewską, bywały

¹⁾ Rodzina Marcielego Karczewskiego, zastrzelonego dnia 24, lutego 1861, na Krakowskim-Przedmieściu — jednocześnie z Michałem Arcichiewiczem, Zdzisławem Rutkowskim, Karolem Brandlem i Adamkiewiczem.

wiele u pułkownikowej Paszkowskiej. Przytoczę tutaj parę ustępów z listów ś. p. Julii, by jej miły humor dać poznać.

„Warszawa, d. 1 października 1857.

„Nie wiem, czem zasłużyłam na tak krótki, pełen wymówek liścik. Kochana Pani pogniewała się na kogoś, a mnie karze, jak to mówią: „na jednym się skrupi na drugim zmięle”. Wszakże milczeniem nie zgrzeszyłam? Przed wyjazdem do Ciechocinka pisałam, kraszając one bezbarwne wyrazy wierszem Karpińskiego. Ale Pani droga i wiersza nie pamięta i listu. Pojechała sobie do Salzbrunn, nie mi o tem nie doniosła, i gdyby nie panna Bi-bianna, z którą całe życie chciałabym być razem, anibyłam wiedziała co dzieje się z Panią.

„Powracam do Warszawy, raduję się myślą o liście od Pani. Jest list, ale w nim bura! I za co? Za ten wiatr co wieje!—Ha! Kto się kocha ten się klóci. Więc dla mnie ma to być dobry znak i miara przychylności Pani.

Biedny Jachowicz chorey, ale tak mocno, że leży w łóżku. Nie wiem, czy Bóg dawne powróci mu zdrowie. On sam wspomina o tem, iż prace jego tegoroczne już są ostatnie. Widziałam go, i zawsze zarówno miły, cierpliwy, cichy — myślący o swoich sierotkach w dobroczynności. Zawsze w niedostatku, a coraz to cięższym. Żali się, iż „Wieniec” nie bardzo pokupny. Jednak zewsząd słyszę pochwały tego pisma. Czemuż więc nie kupują?

„Warszawa, 10 października r. 1858.

Przed czterema tygodniami wróciłam do Warszawy, znów jestem w rodzicielskim domu — Bogu dzięki! Nasze miasto zapełnia się coraz bardziej wędrowcami z za granicy. Wyglądamy pani Lewockiej. Pani Moraczewska przybyła z Akwisgranu. Państwo Maciejowscy dopiero po św. Wacławie przybyli w nasze mury.

O uroczystościach, iluminacyach, sztucznych ogniach nie piszę — bom tego wszystkiego nie oglądała.

„Panna Jadwiga Łuszczewska pojechała do Berlina, ztamtąd ma się udać na wyspę Rugię i zwiedzić świątynię Światowida.

„Dziś właśnie w nocy umarł Ignacy Komorowski, narodowy nasz lirnik, który do gęśli Lenartowicza umiał tak cudne dobierać tony. Pokój mu! Skończył tak młodo, choć życie jego nie zostało bez śladu w ojczyźnie, mógł wszakże dłużej służyć krajowi darem Bożym, któremu świat imie talentu daje. Biedny brat nieboszczyka Józef, (artysta dramatyczny), nie wiem jak ten cios przetrzyma.. Jeździł on do Włoch w tym roku dla poratowania bardzo nadwątlonego zdrowia, lecz żadna potęga lekarska, żaden wpływ powietrza nie leczy cierpień serca.

W teatrze naszym wznowioną i bardzo lubioną jest sztuka Józefa Korzeniowskiego „Żydzi”. Wielkie zbiegowisko ciekawych sprowadza ona co przedstawienie. Ja raduję się tą apoteozą, jaką żydowski lud pozyskał na scenie naszej. „Żydówka”, opera Halewy’ego, czarowała widzów chrzezo-

nych i niechrzeczonych. Dramat „Żydzi”, czaruje także. Bohaterowie tych sztuk, przedstawieni w jak najżywszych barwach enoty i rozumu, ku wielkiemu pohańbieniu Goimów”...

„Warszawa, 1 listopada 1858.
i Wszystkich Świętych.

„...Oczy moje nie zawsze mi chcą służyć, ależ jak „do mej niebogi niema złej drogi” tak i do napisania tego listu.

Wie Pani zapewne, że Wincenty Pol był w Warszawie. Co mi też kochany twórca „Mohorta” krwi napsuł!—Właśnie wybieraliśmy się w Karpaty, spotykam Ilnicką, zaczynamy rozmawiać o Polu, o zajęciu, jakie wzbudza, o tem, że przed wyjazdem do wód Pruszkowa dawała dla niego śniadanie. A że rzecz ułożyła się na prędce, nie wiedziałam o tem i nigdzie go dotąd nie widziałam. Dosyć, że narozmawiawszy się, pożegnałam Ilnicką i każda poszła w swoją stronę. W parę dni potem przyszyła do mnie Ilnicka, że Pol ma być u niej. Była to niedziela, sam zapowiedział swoje odwiedziny. Biegnę eo tehu, wcześniej niż potrzeba. Czekamy godzinę, dwie, trzy... Zadzwonili w przedpokoj. Ilnicki wychodzi na przyjęcie pożądanego przybysza. Pot oblał towarzyszkę pani domu, we mnie serce było jak młotem, szurgają nogami, kłaniają się... wchodzi... pan Chotomski pułkownik i lekarz z emigracyi ¹⁾, i pan Pietrusiński. Pola niema! Gdzie

¹⁾ Trawestator Eneidy — Prawdzie Dienheim hr. Chotomski. Ojciec Władysława (Chochlika, poety) i Bolesława, autora kilku dzieł technicznych.

Pol? „Poszedł do Fary na nabożeństwo, zgubiliśmy go w tłoku, ale pewno przyjdzie”. „A kiedy nie wie gdzie mieszkamy!” — powiada pani Ilnicka. „To go pan N. przyprowadzi“. Czekamy godzinę, dwie, nie przyszedł. Pewno już nie przyjdzie, i rozeszliśmy się. W piątek po tem zdarzeniu Pol znowu się zaprasza do Ilnickich. Dają mi znać. Już byłam upakowana do podróży—ale biegnę, siedzę wieczór cały... Pola wygnali z Warszawy!—A toż trzeba nie mieć szczęścia!...

Dwa tygodnie temu Aszpergerowa przybyła do Warszawy i występowała w rolach gościnnych. Na pierwsze wystąpienie grała „Adryannę Lecouvreur“. Byłyśmy na tem przedstawieniu, i zachwycenie nasze nie da się wyrazić. Cóż to za wielka artystka! Jaka prawda i jakie czucie w jej grze! Jak umie płakać prawdziwemi łzami! Być młodą, szlachetną, piękną. Za drugim wystąpieniem wywołano ją dwanaście razy. Grała cudownie. A jednak nie pozostała w Warszawie.

Starszy syn państwa S. Edward, zakochał się szalenie w osobie niezbyt ładnej-i niebogatej. Rodzice przeciwni byli temu związkowi. Ale widząc, że Edward źle wygląda i smutnym jest bardzo, ojciec odzywa się dnia jednego do niego: „Edziu! masz mnie za swojego przyjaciela?“ „Mam, ojeze drogi!“ „A czemuż nie prosisz, bym ciebie pani* oświadczył?“ Pan Edward upadł ojcu do nóg—a oświadczenia odbyły się nazajutrz. Pan S. sam to pani Lewockiej opowiadał. Inny wariant opiewa, że pan Edward dostał palpacyi serca z radości. Ja odrzucam jednakże spazmy. Zostawmy je dzieciom

i chorym kobietom. Nie wierzę, żeby ten zacy młodzienciek był tak nerwowy. Słabe to, nieznośne narzędzie w grze stosunków społecznych“...

„Warszawa, 20 maja 1859 r.

„...Tydzień temu, jak Józef Kremer opuścił Warszawę. Bawił z nami dni dziesięć, porywany, wielbiony, częstowany, zamęczony holdami. Wieczory na jego przyjęcie były u Korzeniowskich, Wójcickich, Łabęckich i t. d. W Resursie obiad składkowy. Wiersze, mowy, mówki, improwizacye, słowem holdów aż do umęczenia. Poczciwy Kremer, niezaparty uwielbieniem, skromny i prosty, mimo wrodzonej wytworności jego ułożenia, był przejęty, wzruszony... nie wiem czy nie znudzony. Panią Paszkowską jest zachwycony. Był u niej razy parę. Warszawa mu się podobała. Powiedział: że wzrosła, że Saski ogród piękniejszy od Plantacyi krakowskich. Prawda, że śliczny w tym roku, lecz ja wolę wszystko co krakowskie.

„Zawiązała się tej zimy „Resursa męzka literacka“. Młodzi i starsi literaci gromadzili się do jednego domu, gdzie był fortepian (mieszkanie to najęli ku temu), i tam grali, śpiewali, czytali. Czasami, raz na tydzień, bywała kolacyjka. Panowie powiadają, że się wybornie i rozumnie bawili. Postęp niemały dla dzisiejszych męczyzn, którzy się bawią najlepiej... nierozumnie w karty i butelki. Ale dla nas biednych białogłów i ten postęp był ze szkoda: u pani Góreckiej, pani Pruszkowej, myśle, że i wszędzie, męczyzn, jakby wymiół. Nie bardzo to ożywiało wieczory i salony.

„Niedawno pogniewałam się bardzo na Bartoszewicza. Chwalił „Rozrywki“ pani Pruszkowej, czemu nie mam nic do zarzucenia! Lecz gdy przyszło do moich artykułów: „Jadwiga Jagiellonka i Anna Jagiellonka“, chwając mnie niby, powiedział, że skróciła Szajnochy utwory — gdy tymczasem Szajnocha ani o tej Jadwidze ani też o Annie, wcale dotąd nie drukował! Nie wiedząc z początku czyjego pióra jest ta niedbała recenzja, chciałam wystąpić z ostremi zarzutami, jak to u nas lekceważą recenzenci piszących i czytelników. Ale kiedy mi powiedziano, że Bartoszewicz tak się popisał, wypaliłam list do niego — prosząc aby ten list w „Kronice“ drukował. Nie uczynił tego, i znowu się gniewałam. Wszakże kiedy Kremer był u Józki Śmigielskiej, zaprosiła też Bartoszewicza. Wtedyśmy się widzieli, pokłócili, i pogodzili. On został przy nieodwołaniu swej niesprawiedliwej recenzji, ale ja wolę mu to przebaczyć, niż klócić się z nim, choćby o rzecz słuszną“...

Julia Janiszewska umarła po ciężkiej chorobie w Warszawie, dnia 12 października 1867 r. Panna Józefa Śmigieliska-Dobieszewska, napisała serdeczne o niej wspomnienie pośmiertne, zamieszczone w „Kłosach“.

Ś. p. Julia zostawiła mi pamiątkę w moim Albumie:

„Ty bezimienna! choć z nazwisk tysiącem,
Ty nieśmiertelna! — śmiertelnych potrzebo,
O Szczęśliwości! — Podniętą i końcem
Wszzechdżeń naszych — wskazana przez niebo...“

Gdzie techniesz, tam życia kłopoty maleją,
 A śmierć cudownej nabiera ponęty,
 Gdziekolwiek wioniesz, żądzą czy nadzieją —
 Tam z człeka zbrodzień—szaleniec—lub święty.

Każdego z blizka — komuż objawiona?
 Mędrcom — prostakom — starcom — dzieciom droga.
 Ludzkość do ciebie wyciąga ramiona,
 Czy pragnie złota — rozrywki — czy Boga.

Uczony, który ksiąg przerzucił krocie,
 Mędrzec, co światów tajemnice bada,
 Zbytnik — w zwierzęctwa zanurzony błocie —
 Każdy cię sięga — a nikt nie owłada!

Gdzieżeś więc? Gdzieżeś? — Czy w laurowe sploty
 Uwita — bujasz nad Parnasu szczytem;
 Czy też — w miłości zestalona groty,
 Darzysz ziemiany uczuciem i bytem...

Siedlisko twoje, o błogosławiona!
 Tam, kędy miłość, enota — mierność, praca...
 Lecz cię dopiero ludzkość zaślepiona
 Wtedy poznaje — kiedy już stracona ¹⁾.

Najpierwsze utwory ś. p. Julii Janiszewskiej drukowane były w „Gazecie porannej” i „Przeglądzie naukowym” Hipolita Skimborowicza. Pisywała do „Rozrywek” Seweryny Pruszkowej, „Zabaw dla młodego wieku” i „Kółka Domowego” Józefy Smigielskiej.

Warszawa pod każdym względem ma wielkie artystyczne poczucie, świadczą o tem i odwiedzają-
 cy z zamiłowaniem pracownie malarzy. Wszędzie
 pełno można spotkać osób, a przecież takich pra-

¹⁾ Naśladowane z Pope'go: „Essay on Man”.

cowni jest wiele. Gdy posłyszą o jakim świeżym utworze, którego z mistrzów naszych, biegają zaraz, by go powitać, mówię tu jedynie nie o znawcach, a lubownikach tylko. I jest to zapewne przyjemność nader wielka i zadowolenie prawdziwe patrzeć się na te dzieła, na polskiej stworzonej ziemi, wśród tak ciężkich stosunków i smutnych okoliczności.

Pierwszy obraz, który widziałam wystawiony w Dobroczyńności 1842 roku, była „młoda Holenderka” panny Bauman, Warszawianki. Pojechałam z panią Paszkowską, która, jako znawczyni, zwróciła uwagę moją szczególnie na piękne wykonanie rąk, co zwykle wiele nastęrcza trudności. O stworzonym przez nią później portrecie kobiety w czarnej sukni atlasowej, wyraża się słynny, a nader surowy, krytyk, Wincenty Smokowski ²⁾.

„Jest to arcydzieło z jakim w całym mojem nie spotkałam się życiu, dni i miesiące przypatrywałam się cudnej robocie głowy i rąk. Co za studya, co za natura, miękkość, świeżość! Dla panny Bauman dosć tej jednej roboty, bo ona ją uwiekopomni. Każdym razem, kiedy tylko wspomnę o tej pannie Bauman robocie, przychodzi mi na myśl, co to twórczy geniusz, nawet w krótkim czasie, dokażać może, jeżeli Bóg nim udaruje kobietę. Angelika Kaufmann i pani Lebrun były to wielkie mistrzynie i na równi z artystami pierwszego rzędu uważane były; a przy pannie Bauman tak one giną, jak świętojański robaczek przy słońcu. Mówią, że Rubens

²⁾ „Dzwon literacki”.

malując swoje obrazy, maczał pędzle gdzieś tam w niebie, panna Bauman zaś, gdzieś w sferze niebieskiej siedząc maluje”.

Na wystawie sztuk pięknych w Berlinie 1844 r. prace panny Bauman do najznakomitszych zaliczone były. Szczególniej podziwiano „Rodzinę górali”, patrzącą z żalem na dogorywającą chatę. Tłumy widzów oblegały jej obrazy. A wiemy, jak Berlin jest chłodny, krytycznie surowy... i niesympatycznie usposobionym dla wszystkiego co polskie.

„Stadnina” Januarego Suchodolskiego pociągała zawsze znawców i miłośników koni.

Przed „Obroną Trębowli” Aleksandra Lessera można zawsze było spotykać widzów. Tak samo i przed Skarbkiem: „Habe Dank!” który nadto i narodowe podnosi uczucie.

„O Obronie Trębowli” opowiadają anegdotkę, że jakiś pan Chrzanowski, stawając przed tym obrazem odezwał się z wyrazem buty do Lessera:

— Dlaczegoż pan mojemu przodkowi takie izraelskie nadałeś rysy?

— Trzymam się ściśle historii i archeologii, przestrzegam sumiennie, by rzemyczek każdy był takim, jak być powinien. Chrzanowski, obrońca Trębowli, a małżonek tej oto bohaterki był Żydem, zatem wschodnie nadałem mu rysy.

Niepowołany krytyk i potomek Chrzanowskiego poczerwieniał, umilkł i wymknął się zaraz.

Si non è vero è ben trovato!

U Simlera patrzyłam się z nieokreślonym zajęciem na „Miecznika z Maryą pod lipą”. Ale... zdawało mi się, że Marya nie dość wiotką ma postać,

o której poeta mówi: „Jak gdyby do aniołów miała się już dostać”. Piękny nader wykończył portret Józefa Komorowskiego, artysty dramatycznego, w naturalnej wielkości do kolan. Podobieństwo uchwycił zupełne, i cały układ obrazu, udrapowanie aksamitu czyli adamaszku amarantowego, akcesorya wszystkie, są zestawione szczęśliwie a pięknie.

Hadziewiczza portrety pociągały tłumy. Pracownie Gersona, Breslauera, Kaniewskiego, Aleksandra Zielińskiego, Chojnackiego, Rakowicza, Lasockiego, Paszkowskiego, Ziemięckiego, Fanhauzera, Pęczarskiego, Lumpiego i t. d., ciągle miały odwiedzających.

A któż nie zna Piwarskiego cynkograficznych Albumów? Obrazki cudne z przygód naszego ludu, tak miejskiego jako i wiejskiego. Wystawione w oknach nęcały tłumy widzów warstw wszystkich. Gdym zwiedzała pracownię jego, darował mi ślicznie wykonaną litografię, dość duży obraz, do ramotki Augusta: „Kubuś się przeciera” i kolorami zrobione „Babę śpiącą na kazaniu”.

W 1855 roku zwiedzając te przybytki sztuki, szczególnie mnie przejmował obraz Januarego Suchodolskiego: „Zamojski w więzieniu u Samuela Zborowskiego”, bo aż niby temu nie stało, tak uprzytomnia straszłą tę chwilę, i mogłam była godziny nań patrzeć z przerażeniem w duszy i żalem. A jakże uroczyście uczucie budzi Kordecki na murach Częstochowy!... Jakże miło patrzeć na piękną postać starego szlacheica, wobec którego dziarski młodzian dzielnego dosiada konia! i t. p.

Lesser wykończył wtedy właśnie piękny obraz

z wielu figur złożony: Królowa Jadwiga przypatrująca się z okna, w otoczeniu dworu, „wjazdowi Jagielly na zamek krakowski”.

U Hadziewicza widziałam obraz na dokończeniu, wielkich rozmiarów, przeznaczony przez rodzinę hr. Łubińskich do kaplicy tegoż imienia w Gnieźnie. Twarze postaci są portretami doskonale oddanymi.

A kogóż nie zachwycają prześliczne akwarele Juliusza Kossaka? Kogóż nie pociąga geniuszem swoim Kostrzewski? Któż nie zwiedzał chętnie zakładu artystycznego Fajansa.

U n a s .

Gdyśmy zamieszkali Warszawę, nieokreśloną była tęsknota moja za wsią, za lanami, lasem, łąką, strumykiem, miedzą z macierzanką i rozchodnikiem, za gołem żniskiem, po którym wiatr jesienny zamiata, za spłowiłą niwą, szronem, poświstem i zamiecią. Ale potrzeba było w murach miasta pozostać i tylko o tamtych marzyć urokach; w wyobraźni i powiastce, myślą i duszą po wiejskich bujać nstroniach. Spojrzeć w dni świąteczne na bruk miejski, widzieć liczne przystrojone postacie, ciągnące na zapyłone spaceru... przymknąć powieki i śnić o uśmiechniętej, cichym nastroju wiosce; o dziatkach w białych koszulkach, słomianych kapeluszach, biegających za kręgiem; o wiejskim dziewczęciu, śpiewającym przy studni i gwarzącej pod domami starszyźnie. O legawce pastuszka, skrzypku wiejskim, i o miłych sąsiadach... schwyć się za pióro i pisać... dopóki atramentu stanie!

W tym czasie była w „Bibliotece Warszaw-

skiej” powieść ks. Mętlewicza, „Brat i siostra”, ślicznie napisana, obrazek czysto sielski, i zapłakałam nad nią.

Później dopiero polubiłam Warszawę, pokochałam gród łez i serdecznej miłości, wesołego gwaru, elegancyi, wykwiutnego smaku, lecz i najszezerzej pocziwycych dążeń.

Za granicą będąc, z tęsknoty za krajem napisałam pierwszą powieść moją: „Helena”, która dopiero w 1855 roku wyszła u Areta w Lublinie. I też znowu w Warszawie, z tęsknoty za wsią, kreśliłam niemal w gorączkowym pośpiechu powiastki moje, wyszły w zbiorku p. n. „Wieś i miasto”, (choć tam prawie miasta nie widać), i one musiały mi pożyć na wsi zastąpić. August dawniej już kiedyś brał się także do pióra i widząc mnie gryzmołącą z zamilowaniem, także pisać zaczął. A „Ramotki” znalazły od razu najgościnniejsze przyjęcie i rozgłos. — Redaktorowie „Biblioteki Warszawskiej” twierdzili, że niemal wszędzie spotykają zeszyty swojego pisma z przeciętymi najpierwej kartami, na których znajduje się „Ramotka”.

Pisaliśmy zatem oboje, a potem czytawali sobie nawzajem cośmy poklecieli. Ja śmiałam się, rozweselona obrazkami jego. Augusta oko zwilgotniało niekiedy przy którym z tkliwszych ustępów powiastki mojej. A nie było rywalizacyi pomiędzy nami, bośmy sobie w drogę nie wchodzili wcale.

Jest zawsze pewna lekliwość, pewne dziewictwo lekliwe przy pierwszym druku, podobno każdej literackiej pracy, że piszący niechętnie swoje podaje nazwisko. Długo namyślałam się, jakiby

odpis pod moimi powiastkami położyć, aż stanę-3 lo na: „Paulina z L. W.” A z L. W. dlatego, ażeby jako mężatka swobodniej piórem wodzić mogła. Niedługo jednakże w tej niejawnej obsłonie moje kryło się autorstwo, bo „Ore-downnik”, wychodzący w Poznaniu, wkrótce po wyjściu „Wieś i miasto” całą tajemnicę wyjawiał. Było mi to bardzo nieprzyjemnie, wyznając. Ale pogodziłam się z tem rychło, zwłaszcza gdy pan J. Popliński pocziwem udarował mnie słowem, tłómacząc — jak się wyraził — tę niezgrabność pióra.

Zatem przy późniejszych utworach już całe wypisałam nazwisko.

Pierwsza powiastka moja drukowaną była w „Pierwiosnku” Pauliny Krakow: „Zasłona księżniczki Elizy Radziwiłłówny”. Druga w „Bibliotece Warszawskiej”, „Rozyna”. W tym czasie zaczął Edmund Chojecki wydawać pismo p. n. „Echo” — od imienia i nazwiska swojego E.-Cho — poprosił o przyczynek i wydrukował dwie moje powiastki: „Ucieczkę” maleńką, ladową — i „Annę”.

Piśmienne zajęcia nasze zbliżyły nas zatem od razu z literackim światem Warszawy, jak to już powiedziałam.

Częstym w domu naszym gościem bywał za- eny i pocziwy Antoni Muczkowski, znajomy Augusta jeszcze z Poznania. Pan Antoni przynosił nam zwykle najświeższe literackie nowości. Czytywaliśmy je głośno wieczorami. A zachęcał nas bardzo do pozostania w Warszawie. Dalej bywał Anton-Szabrański, redaktor „Biblioteki Warszawskiej”, poie ta, tłómacz „Ifigenii” Goethego i t. d., i szczegó-
ł

nego dodawał nam bodźca. Bywali często u nas Aleksander Tyszyński, Aleksander Kure, Edward Dembowski, Hipolit Skimborowicz, Karol Korwel, Białopiotrowicz, Inflantezyk, tłumacz „Chattertona” i t. d. Józef Kenig, Antoni Lesznowski, Feliks Zieliński, Oskar Kolberg, któremu w czasie jego pierwszej wizyty kilkadziesiąt piosenek ludu poznańskiego zaśpiewać musiałam, a gorliwy badacz i rozmiłowany na tej niwie polskiej pracownik, spisywał je zaraz.

Przyjemne z owego czasu wspomnienie pozostawił mi także Władysław Wężyk. Był sympatyczny, życzliwy, dowcipny i każde towarzystwo ożywiało. We wszystkich lubiono go salonach. Podróżował wiele i starał się wszędzie poznać wszystkich i wszystko. Opowiadano, że umyślnie pojechał do Gratzu, by poznać Karola X i dwór jego. Nazwisko swoje podał na biletach: de Vengick. Miano ge za Bretończyka albo Wandejczyka, i natychmiast przyjętym został. Nic wszelako z tamąd tak wiele ciekawego nie wywiózł. We Włoszech kazał sobie podobno przez żart wydrukować bilety: *Il comte Serpentino della Ruda granda*. Majątek Wężyków w Lubelskiem nazywał się Wielka-Ruda.

Aleksander Tyszyński skrytykował jego „Podróż po starożytnym świecie” (do Jerozolimy i t. d.) i wtedy pan Władysław przesłał Augustowi humorystyczny bilecik: „Kochany chirurgu filozofii ratuj, bo mnie Amerykanka udusi!”

Zostawał w stosunkach ściślejszej przyjaźni z Cypryanem Norwidem, i byli prawie nierozłączeni.

Zewsząd odbierałam zachętę do tworzenia po-

wiasek. I przechowuję list J. I. Kraszewskiego, napisany do mojego męża po wyjściu zbiorku: „Wieś i miasto”

Pan Prot Leleweł, brat Joachima, opowiadał, że jakiś niemłody kawaler w sąsiedztwie jego, przeczytawszy powiastkę „Stary kawaler”, postanowił ożenić się zaraz.

— A daliśmy mu ją umyślnie do przeczytania—dodał z umiechem — bo zastraszał, że się nie ożeni wcale. A szkodaby go było.

Potem znowu, na wieczorku u pułkownikostwa Horodyńskich, siedzący naprzeciw mnie, nieznanymi mi pan W., zachęcony przez gospodarza do stanu małżeńskiego, wyrzekł:

— Zastraszyla mnie już obrazem starego kawalerstwa jakaś świeża autorka, której powiastkę właśnie przeczytałem wczoraj.

Przysłoniłam nagle uśmiech i rumieniec chusteczką gdy pułkownik wymówił:

— Otóż jest autorka, pani Paulina Wilkońska.

Zastraszony kawaler porwał się z uprzejmym ukłonem. A wszyscy w koło herbacianego stolika zaśmiali się wesolo.

Miłą także pozostawiły mi pamięć z onych pierwszych czasów warszawskiego życia: panna Wincenta Zabłocka, kanoniczka; pani Moraczewska z Malskich, ciotka J. I. Kraszewskiego; pani Paulina Kraków, panny Walentyna Trojanowska i Józefa Prusiecka; pani Mierosławska i jej córki.

Pani Pawłowa Mierosławska, z domu hrabian-

ka Komorowska, żyła kiedyś na wielkim świecie i w dostatkach. Lubiała o tych czasach mówić i wspominać, kiedy to na balu w Warszawie z marszałkiem Davoustem poloneza otwierała. Później przez nader ciężkie przechodziła koleje. Dość powiedzieć, że zięć jej, Wincenty Winnicki rozstrzelanym został w Kaliszu 1836 r. jako naczelnik emigracyjnych. Córka, pani Tekla Winnicka mieszkała przy niej, osoba miła, dobra, a bardzo nieszczęśliwa. Bo zdawałoby się, że los złowrogi pastwił się nad temi kobietami biednymi.

Po strasznej egzekucyi kaliskiej, pani Mierosławska, dziedziczka Lubrańczyka w Kujawach, wezwwała chłopów tej włości do siebie, oznajmiła im o śmierci okropnej zięcia i poleciła im nieszczęśliwą wdowę, stojącą w grubej żałobie, i małego jej synka, sierotę, dodając: „A pomódlcie się za duszę Wincentego Winnickiego!”

Chłopi pokłonili się z wyrazem żalu, a starszy z gromady odrzekł:

— A jakżebyśmy się tam za niego modlić mieli? Niech nieboszezyk modli się za nas do Ojca Niebieskiego, boć on został męczennikiem za świętą wiarę naszą.

Wdowa z głośnym wybuchem płaczu, załamując ręce, padła na kolana.

Syn pani Winnickiej, chłopię małe, zostawał pod ciągłą bacznością policyi. Biedaczek zachorował i umarł. A policyant nie odstąpił go na chwilę, aż po pogrzebie.

Pani Mierosławska prowadziła proces o swój majątek, zajmujący żywo niemal całą wyższą sferę

stolicy, z mecenasem, który dawniej pieczę nad jej interesami miał w ręku. Sprawa ta wywiązała się w czasie ich nieszczęść, i pozbawione zostały swoich włości. Nie miejsce mówić tu o szczegółach tego procesu.

Młodsza córka pani Mierosławskiej, Paulina, była wtedy panną jeszcze.

Bywałam z przyjemnością prawdziwą u hrabianki Teresy Kickiej. Liczyła wtedy podobno już blisko lat siedemdziesiąt. A żywość, pamięć i wdzięk towarzyski przechowała zawsze. Była wysoka i dość dobrej tuszy. Rysy miała regularne, oczy szafirowe, oprawę przy skroniach zmrużoną nieco, co jej spojrzeniu szczególnego dodawało powabu. Ubierała się najczęściej czarno, w materye jedwabne. Niekiedy, na większe wizyty, włożyła kołnierzyk koronkowy precudnej tkaniny, który ongi nosił Torquato Tasso, jak mi opowiadała, kupiony we Florencyi, czyli w Toskanii podobno.

Rozmowa jej była ożywiona i pełna interesu. Przyjeżdżała niekiedy z wizytą dopiero o godzinie dziewiątej wieczorem, zwłaszcza w lecie. Miała karetę wielką, rozkładaną, wybitą aksamitem amarantowym i parę starych, opasłych koni, a udzielała jej chętnie do przejażdżek i nieraz nią do Łazienek, albo po belwederskim jeździła ogrodzie.

Mieszkała przy Krakowskiem - Przedmieściu, w pałacu Karasia na pięttrze. W pierwszym, dużym salonie, raczej sali, stała na środku altanka drewniana, pomalowana zielono, obstawiona kwiatami. W tej sypialni, na leżance wygodnej, po obiedzie zwykle.

W drugim salonie, nieco mniejszym, był stół długi z wystawą przeróżnych utworów sztuki. Stały tam popiersia marmurowe, figurki porcelanowe i rzeźby z kości słoniowej. Leżały ryciny, Keepsake'i piękne, albumy, mnóstwo nowości literackich, najczęściej wszelako francuskich. A wśród tego dwa piękne wazy sewerskie, ze świeżemi kwiatami. W koło stały kanapki, otomanki, fotele. A pani tego wszystkiego zawsze z wdzięcznym witała uśmiechem.

Nie umiałam wszelako z tej tak nader zajmującej a łaskawej na mnie znajomości literacko korzystać. Bo panna Teresa Kicka żyła zawsze w najwyższym świecie, a pomiędzy jej konkurentów zaliczano przecie ongi księcia Adama Czartoryskiego i księcia Józefa Poniatowskiego. Znała wszystkich i wszelkie ówczesne dzieje doskonale, i byłaby chętnie o różnych ciekawych opowiadała wypadkach. Ale... miałam za nadto jeszcze pstro w głowie, i nie wiedziałam, poznać nie umiałam, jaki to skarb przedemną zamknięty leżał, potrzebujący jakoby tylko jednego wyrazu: *Sesamie*, otwórz się!

Niekiedy ukazał się u nas Roman Zmorski, który zdolnością swoją odrazu zwrócił na siebie uwagę: w „Nadwiślaninie” i „Przeglądzie Warszawskim”, wychodzącym pod redakcją Budziłłowicza. Nie wchodził jednakże w towarzystwa, a raczej stronił od nich, zwłaszcza też od kobiet, jak to mówił do Augusta. Ale można go było spotykać w ogrodzie Saskim, całkiem czarno ubranego, z dłu-

gim ciemnym włosem i wyłożonym białym kołnierzykiem *à l'artiste*, w kapeluszu czarnym z szerokim brzegiem i z grubą laską w rękę, jakich używają studenci niemieccy. Rysy miał ładne, więcej drobne, oczy siwe z głębokiem wejrzaniem, pleć śniadą, brew wydatną i lekki wąsik.

Winnam tu wspomnieć o głośnem, w swoim czasie, a powtarzanem następnie często, niezupełnie zgodnie z prawdą, przeprowadzeniu Sierpińskiego na inne mieszkanie. Opowiadał mi o tej igraszce nasamprzód Hipolit Skimborowicz, który do niej nie należał, a później i Bogdan Dziekoński, jako jeden z głównych aktorów.

Zenon Seweryn Sierpiński był młody pisarz niewielkich zdolności, ale pracowity, dla charakteru swojego i poczciwości bardzo przez rówieśników i kolegów lubiany. Miał przeprowadzić się podobno z Krakowskiego-Przedmieścia na ulicę Świętojańską, i przyjaciele postanowili przenieść go, oszczędzając mu kosztu, a może i przez młodzieńczą swawolę. Bogdan Dziekoński był na uniwersytecie w Dorpacie i Królewcu. Wiadomo, że pomiędzy akademikami niemieckimi nieraz różne dzieją się wybryki, i może to on właśnie ten podał concept. Przeprowadzają go zatem: dwóch niesło łóżko, jeden fajki, dwóch suknie jego na jakichś noszach; dwóch kuferek, dwóch książki; jeden szczołki i jeden miednicę. Podobno, że kilku z nich włożyło fraki i jasne rękawiczki.

Cały ten pochód ciągnął z powagą przez plac Zamkowy. Paskiewicz stał właśnie w oknie, widzi tę dziwną procesję, i posyła adjutanta z zapyta-

niem, coby to znaczyło? Adjutant wraca i opowiada ze śmiechem, że to literaci przeprowadzają kolegę swojego na nowe mieszkanie.

Namiestnik w pierwszej chwili chciał ich kazać aresztować, ale wyperswadowali mu, więc tylko ruszył ramionami i wyrzekł:

— Biedna literatura polska skoro takich ma reprezentantów.

Należeli do tego żartu Bogdan Dziekoński, Fileborn, Roman Zmorski i t. d.

Mało kto wie zapewne, że w jednym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej” jest drukowany artykuł księcia Paskiewicza!! Było to w czasie karnawału. Artykuł mówił o balach i zabawach w ogólności. O kobietach, a wreszcie, że damy schodzące z pola, zazdroszczą bohdów i uwielbienia młodszym, karcają słowami, niekiedy nawet i potwarzają, i gonieniem za tańcem, za rozrywkami, niepomnie ile same dawniej światową upajały się rozkoszą. Otóż, co mniej-więcej artykuł ten zawierał, a zdaje się niewątpliwie, że był tendencyjnym. Książę napisał go zapewne po rosyjsku, a ktoś w biurze jego przetłumaczył. „Biblioteka Warszawska” zamieściła ten artykuł w Rozmaitościach.

Książę Paskiewicz lubił podobno porównywać siebie z Wallensteinem, i stanowisko swoje wobec nienawistnych mu dostojników w Petersburgu, którzy mu łaski i miłości cesarza zazdrościli.

Drugą osobliwością literacką, w podobnym rodzaju jak powyższa, była powieść generała Storo-

żenki, którą „Bibliotece Warszawskiej” nadesłał; powieść jego pióra! Redakcja miała jednakże tę wielką odwagę cywilną, że ją autorowi zwróciła, z nader grzecznem omówieniem, że praca ta, pełna zalet, nie zgadza się z całością pisma i t. p. O co generał, potrzeba oddać mu słusność, nie obraził się bynajmniej.

W pałacu Skwarcowa, dawniej Saskim, mieszkała pani Karenżyna z Augustowskiego (Karenga z rodziny Esterhazy) i dawała nader przyjemne wieczory. Bawiła u niej bratanka męża, panna Rahela, osoba miła, dobra, wykształcona — i majątna. A mieszkała przy niej panna Józefina Kiewlicz także z Augustowskiego, niemłoda już, znana z procesu z rządem o dwadzieścia kilka milionów. Jakiś jej pradziad bezdzietny, wychodząc na wojnę, oddał cały majątek, rozległe bardzo dobra i kosztowności klasztorowi w Augustowie, na czas aż do powrotu swojego, a w razie śmierci, dopóki klasztor istnieje będzie. Po zniesieniu przeto klasztorów i zabraniu dóbr wszystkich i dochodów na rzecz skarbu, wystąpili Kiewliczowie z pretensjami swojemi i zabierali się do wytoczenia Prokuratorowi procesu. Panna Józefina była wtedy młodą jeszcze i ładną; była wykształconą, ślicznie po francusku mówiła i podobać się mogła. Zaręczył się z nią książę Ogiński, imienia nie pamiętam. A wkrótce po zaręczynach wyjechał za jakimś interesem familijnym do Petersburga. Ztamąd często pisywał do swojej *adorée* Dziudzińki — jak ją nazywał — bo mi wiele

z jego przeczytała listów. Gdy, niestety, po kilku miesiącach, w tej północnej metropolii umarł. Żal biednej narzeczonej był wielkim i długo niepokonanym.

Zjechała z matką do Warszawy, która ów proces rozpocząć chciała, gdy i ta po latach paru umarła także! Nie żyła już, gdy panna Józefinę poznała i proces rozpoczęty nie był. Lecz panna Józefina pobierała od mecenasa swojego po dwa tysiące rubli srebrem rocznego dochodu. Jak to się działo? Nic nie wiem. I też cała ta sprawa była enigmatem prawdziwym. Później, niestety, te dochody stawały się szczuplejszemi z każdym rokiem, aż i na zero zeszyły. (Po wyjeździe naszym z Warszawy). Mówiono mi nawet i o niedostatku. Dziś panna Józefina Kiewlicz już podobno nie żyje, po przebyciu świetnych nadziei, złudnych Fata morgana i gorzkich a bolesnych zawodów.

U pani Karenżyny bywała jej rodzina i obywatelstwo z Augustowskiego: Giejsztorowie, Downarowicze, Gawrońscy, Godlewscy, Dowgiełłowie, Tukajłowie, Świdowie, pani Kraszewska, matka Michała Czajkowskiego z panną Czajkowską, córką i synem Włodzimierzem Kraszewskim i t. d. Kilka osób z literackiego świata i szlachta wiejska, zamieszkała w Warszawie.

Bywały wieczory muzykalne, na których słyszeć się dawał znamenity pianista Wodnicki, zbyt weześnie zmarły. Podawano mu niekiedy motywa, które w przeróżnych melodyjnych przejściach wariował prześlicznie, przy lekkim, wdzięcznym uderzeniu, z biegłością niezwykłą. Przeczytano czasem

poezję jaką, przywiezioną z dalekich okolic, deklamowano, tańczono, gdy zebrala się młodzież, a często ćwiczek zabawiał wesoly.

Panna Rachelą poszła później za hrabiego Wesła w Sandomierskie, krewnego pani Walerowej Wielogłowskiej, małżonki wielce zasłużonego pisarza, zacnego męża i prawego obywatela.

Na rok 1842 ogłoszono w Warszawie dziennik francuski „Le Glaneur”, a redaktor Hignet i wydawca mniemali, że świetny zrobią interes wśród towarzysztwa, które język francuski tak wielce miłuje, zna dobrze, i przenosi często nad własny. Literaci nasi powstawali na tego zapowiedzianego intruza. Byli tacy, którzy utrzymywali, że dziennik będzie miał powodzenie, jako wychodzący w języku francuskim. Pan Feliks Zieliński dowodził wszelako: że podobne pismo nie ma już z góry „raison d’existence”. Tymczasem intruz francuski wyszedł. Zaraz w pierwszym numerze wykazał Leon Potocki, że grzeszy złą francuszczyzną, i „Le Glaneur”, już po niewielu numerach efemeryczne zakończył życie. Franciszek Gąsiorowski twierdził, że upadek francuskiego dziennika jest dla Warszawy chlubą niezaprzeczoną.

Hignet żył kiedyś w przyjaznych stosunkach z Juliuszem Słowackim. Był starszym cenzorem, i został dymisyonowanym przez Wielopolskiego w roku 1862.

Z nowym rokiem ukazał się „Przegląd naukowy”, pod redakcją Edwarda Dembowskiego i Hipo-

lita Skimborowicza. Pierwszyłożył dość znaczne koszta na to wydawnictwo jedynie przez szlachetne chęci szerzenia oświaty i przez miłość dla piśmiennictwa polskiego. Przygarnął też wszystkie młode talenta do siebie i czynił co mógł w chlubnym zawodzie swoim, bo i sam wiele pracował. Wydrukowanie w jednym z numerów „Ojca Hilarego”, Wolskiego Włodzimierza, wielkie, zwłaszcza między młodymi, dla poety obudziło współzucie.

Jednocześnie pojawił się i „Pielgrzym” pani Eleonory Ziemięckiej. Miał niemal swoich wyłącznych współpracowników. A przewodniczyła w nim gorliwie samaż redaktorka, oddana głębokiej nauce filozofii, osoba wielkich zdolności, wytrwała w pracy i w chęciach jak najlepszych. Miała wprawdzie wielu zwolenników, ale przeciwników więcej, którzy jej przejścia od systemu Hegla do ascetyzmu pojąć i darować nie mogli. Do jej głównych krytyków należał Henryk Lewestam. A były to ostre recenzje, lubo że Lewestam ma dar wypowiedzenia delikatnie i zdań najsurowszych. Może być niesprawiedliwym, lecz nie jest zjadliwym i grzecznym.

Pani Ziemięcka bywała na piątkowych i poniedziałkowych wieczorach, ale nie często.

W jednej z prac pani Ziemięcka wyraziła się, pisząc językiem nader pięknym, że kobieta jest „żebraczką miłości”, co szczególny dało pochop do odzywiania się przeróżnych. Jedni te wyrazy powtarzali z uniesieniem, drudzy przyganiiali im ostatecznie.— A jednakże... czyliż w nich prawdy niema? Kobieta musi być kochaną, bo i czemżeż świat jest dla niej bez serca! Pustkowiem, ciemnicą bez pro-

myka, lodowem zimnem przesyconym. Zatem staje się „żebraczką”, o to słońce, o ten świat uroczy, bez którego życie jest nicością. Tak jak Tekla w „Wallensteinie” wyrzekła:

„Was ist das Leben ohne Liebesglanz?
Ich werfes hin da sein Gehalt entschwinden!”

Trzeciem pismem były „Roczniki krytyki”, Henryka Lewestama, które podobno kwartał tylko potrwały.

W tym czasie zamierzył i August wydawać „Upiora literackiego”. Cyprian Norwid wykonał rysunek upioru. Było nawet już numerów parę przygotowanych, ale nie pozwoliła cenzura!

Wybraliśmy się na trzecią maskaradę, która zwykle bywa najliczniejszą, a przypadała na ostatnią niedzielę. Miałam popielate domino, a August czarne.

Tłok w salach był ogromny, upał nieznośny, pisk masek niemiły, a śmiałość mężczyzn, maskowanych i niemaskowanych, do zamaskowanych kobiet, wydawała mi się wstrętną.

Przystąpiło do nas kilku panów, a pomiędzy tymi i znajomi, zaglądali mi w oczy, brali za ręce bez ceremoni, prawili grzeeczności i żarty, że wreszcie zniecierpliwiona, ażeby się uwolnić, pokazałam im przez białą jedwabną rękawiczkę, obrączkę ślubną.

— *Ah! c'est bien respectable! Pardonnez madame!* wymówił najnatrętniejszy i cofnął się.

Poszliśmy dalej, gdy w tem przyskoczył Kra-

kowiak ochoczy i pozwalal sobie toż samo, mówiąc:
„Ocki łysca się tobie masecko!

Uciekam się jak poprzednio, do pokazania mu obrączki.

— Co to masecko? Niby ma być obrączka ślubna? Ale chyba kłamiesz tytko!

O mało, że mi się na placz nie zebrało. A mąż tymczasem, którego ręki trzymałam się silnie, rzucił na wsze strony dowcipki tłumowi, ciągnącemu za nim.

Wreszcie przedarliśmy się do bufetu. A potem rada byłam, gdyśmy do domu wrócili.

Jednego ze znajomych naszych, prawdziwie maskaradowa wtedy awanturka spotkała. Zaintrygowana go jakaś wdzięczna postać w białym atlasowym domino, z puszką łabędziem — z różyczką przy kapturku. Podał jej rękę, którą przyjęła. Mówiła ślicznie po francusku, w którym to języku nasz znajomy celował. Mówiła po włosku—a pięknie po polsku. W rozmowie jej tryskał dowcip i wyższy polot myśli. Oczarowany kawaler, już jej nie odstąpił weale, palił komplementa sążniste i gorące afekta. Wreszcie nadchodzi chwila rozłąki.

— W przyszłą niedzielę na Wiejskiej kawie— szepce mu rusalka w białym domino — w drugiej sali, pod cyprysem. Będę miała czarny kapelusik z pasowem piórem. Dobra noc! *Al rivedro!*—biegnie przez salę, wybiega do przedpokoju, a kawaler za nią.

Nieznamoma okrywa się tumakami — zarzuca szal na głowę, zbiega po wschodach — oczarowany za nią. Wsiada do sanek—i szepce coś woźnicy.

— *Pardonnez, madame!* — mówił kawaler i wskakuje za nią.

Sanki pędzą przez Trębacką ulicę — Krakowskie-Przedmieście, Nowy-Świat, plac św. Aleksandra i wreszcie zatrzymują się przed dużą kamienicą.

— Wsiądź, panie, i zadzwoni u bramy!—prosi pani.

Kawaler zeskakuje, dobiega bramy... W tem sanki zawracają nagle— i poleciały zkąd przybyły, zostawiwszy panieza samotnie na dalekiej, niemal już po za miastem ulicy.

Klnąc siarczystymi— przeklinając czarodziejkę złośliwą — rad nierad powędrował wśród świeżo spadłego śniegu na powrót, i na śmierć znużony w swoim stanął mieszkaniu. Pocieszało go wszelako, że ją zobaczy w niedzielę na Wiejskiej kawie, i że się pomści.

Nadchodzi niedziela. Niecierpliwy pędzi w umówione miejsce i stawa tamże jeden z najpierwszych. Powoli dopiero goście zbierać się zaczęli. Elegant nudzi się—biega tam i sam. Gdy w tem, w drugiej sali, pod cyprysem, dostrzegł czarny kapelusik z pasowem piórem. Śpieszy... patrzy... i zżyma się: właścicielka kapelusika była gruba, otyła, czerwona, z dużym nosem—jadła za trzech, a gadała za pięciu... I dowiedział się, że to była właścicielka bogata składu drzewa na Starem-Mieście.

O mało, że w gniewie nie roztrącił wszystkich, rzucił się do powozu i kazał pogonić do miasta, co koń mógł uskoczyć.

Nadchodził prim aprilis i brała mnie chętką, ażeby starego zwodzenia dochować zwyczaju. Między innymi pokusiłam się — maluczka, za co dziś jeszcze wiele szacowny Areopag przepraszam! — do zwiedzenia redaktorów „Biblioteki Warszawskiej!“ Wypisałam dwa ustępy z Poezyi wielkiego Adama. Z „Godziny“, położywszy napis:

„Do samotności.

Samotności wzgardzona! w tejsze godzinie
Niegdyś cię porzuciłem, wracam w twą świątynię“.

Drugiego ustępu nie pamiętam.

I August zaniósł je na posiedzenie redaktorów — właśnie w dzień 1 kwietnia, mówiąc: że te poezye jakiegoś młodego wieszczka, nadesłane mi z Poznania zostały. Przeczytano je — i podobały się, oczywiście.

Po długiej dopiero chwili przeprosił August zebranych i oskarżył mnie o ten figielek. Pośmiali się wszyscy i zabawili. A każdy twierdził, że wiersze poznawał...

Nazajutrz przyszedł do nas pan Feliks Zieliński.

— Wie pani, zagadał — byliby wydrukowali! Ja, bom się poznał, alem milczał umyślnie.

W poście byłam dużo cierpiąca na mocne bicie serca i drzenie — a przytem blada, jak chustka.

Dnia jednego odwiedził nas sędziwy pan Osten-Saken, leśnik z Lubelskiego. A był to szczególny człowiek, który zawsze i zaraz wszystko wypowiedział co w myśli powstało jego. To też, widząc mnie tak bladą, wątłą na kanapie, wyrzekł z całą jemu niepowściągliwą otwartością:

— Pani, bo już niedługo pomiędzy nami popasać będziesz! Wyglądasz jak Piotrowina, gdy z grobu powstał. A szkoda paniuni! Doprawdy szkoda! Taka jeszcze młoda!

Lubo słaba, zaśmiałam się szczerze z tego, tyle niewzględnego wyroku, że aż spojrział zalekniiony August nadszedł z drugiego pokoju. Powiedziałam wszelako dopiero powód mojego śmiechu, gdy gość się oddalił. August syknął gniewnie — mnie jednakże ta przepowiednia nie trwożyła wcale.

Panna Kicka wezwała mnie, ażebym z nią w „wielki piątek“, w kościele po-Paulinach kwestowała, ale temu dr. Dworzaczek przeszkodził:

— Czy pani chcesz, ażeby się przepowiednia Sakena spełniła? — wymówił, my wszelako nie chcemy i pani kwestować nie będziesz.

Byłam wprawdzie jeszcze nieco wycieńzoną, a powietrze wilgotne i zimne. Nadto wierzyłam w przyjaciela — doktora niemal ewangelicznie.

W tym czasie bywał u nas niekiedy *Mr. le vicomte de Julvécourt*. Potem, wracając do Paryża, napisał mi w Albumie:

„*J'espère, que mon souvenir restera parmi vous, et que mes actes le raffraîcheront*“.

W roku 1846 spotkałam się, nie pomnę w którym dzienniku paryskim, z jednym z artykułów

jego, z wielką napisanym werwą i serdecznem dla Polski współczuciem—o rzezi galicyjskiej i bohater-skiej śmierci Edwarda Dembowskiego. A później jeszcze, już tutaj w Poznańskim—z romansem przez niego napisanym: *Nastasia*.

W maju zjechała matka moja z siostrą niezamężną do nas.

Na parę miesięcy przed tem zmarła siostra moja najmłodsza, młodziutkie dziewczątka, a kochane bardzo. Znajomi wiedzieli o tej śmierci—której August raczej domyślać mi się kazał, ale niepowiedział—i też milczeli wszyscy. Gdym więc jedną tylko zobaczyła przy matce... a obejrzawszy się lekliwie dostrzegłam trzecią, służącą tylko, odgadłam wszystko... i z wybuchem kurczowego płaczu rzuciłam się do stóp matki. Była to jedna z przewielkich boleści—lubo już nawpół przeczuta—i w ciichości przeboleła.

Następnie zjechali do Warszawy wujowstwo moi, pułkownikowstwo Zadolsey. Więc pospołu z niemi i jeszcze kilku znajomymi, obwoziliśmy kochanych gości po Warszawie, wszędzie, gdziekolwiek coś godnego widzenia było i po okolicy pięknej. Zwiedziliśmy statkiem Saską Kępe, Marymont, Mokotów, Królikarnię, Wilanów i t. d.

Pamiętam, gdym po raz pierwszy Łazienki ujrzęła, jak to niemi byłam zaczarowana. A przybyliśmy do Warszawy wprost z Berlina. Zkąd zwiedzaliśmy Szarlottenburg, Poczdam i t. p. a jednakże Łazienki większy we mnie zachwył budziły. Może

to i dlatego, że swoje! nie umiem rozróżnić.—Zatem i matka moja, która dość podróżowała z ojcem, i siostra, nie mogły się dosyć tym widokiem nacieszyć.

Byliśmy i na Wiejskiej kawie, tak sławnej niegdys. Tyle odwiedzanej dawniej przez całą *fashion* warszawską i przez pełnych elegancyi oficerów polskich.

Salę duże o ścianach oszklonych już były podrujnowane bardzo i wyglądały spłowiało i pusto. Drzewa, krzewy i kwiaty powynoszono do ogrodu, który także nie bardzo przedstawiał się świetnie. Zastaliśmy zaledwo kilkanaście osób, pomiędzy niemi panów Antoniego Szabrańskiego i Aleksandra Kurca.

Wuj oprowadzał nas wszędzie. Przypominał sobie niejedno wesołe, oficerskie czasy, a potem, westchnawszy, wyrzekł: *Sic transit gloria mundi!*

Podano nam babkę świeżą i kawę. Mama wszelako utrzymywała, że jej kawa w Siekierkach lepszą była.

W dzień drugi Zielonych Świątek pojechaliśmy w licznem gronie osób na Bielany, według dawnego zwyczaj!

Matka moja miała landarę swoją. Ale mimo to, przysłała nam uprzejma panna Kicka karetę. Powozy wyznaczoną drogą wlokły się długim, nieprzeliczonym szeregiem, jeden tuż za drugim w słońcu i kurzu. Ale niby-to było arcy-zabawnie i miło. A po bokach piesi barwnym ciągnęli pochodem.

W samychże Bielanych, świat piękny i elegancya, tłumy rozliczne, ścisk niby nieprzebyte two-

rzyły. Były namioty, stoliki, krzesła i ławki — ale zapchane wszędzie. Panowie przemocą kilka zdobyli nam krzesel a wstępnym bojem nieco lodów i talerz z ciastkami zeszlęmi.

Muzyka grała. A elegancya zwolna przeciągała w kurzu. Można było prześliznąć widzieć toalety i piękności różne.

W głębi lasu były widowiska, hece, karuzele, igrzyska, szene, katarynki, budy z piernikami i t. p. dla ludu.

Uważałam, że pan Hipolit Skimborowicz biegł ciągle do uważnego na wszystko p. Dmuszewskiego, redaktora „Kuryera Warszawskiego“ i coś mu tam gadał. A nazajutrz dopatrzyłyśmy się i sobie w opisie uroczystości bielańskiej. Bawiło to siostrzyczkę i wujenkę, która piękną jeszcze była i elegancyę lubiła. Domyśliłam się łatwo, nie mówiąc nikomu, że to redaktor „Przeglądu naukowego“ tak pomógł panu Dmuszewskiemu. Boć tak dzieje się zwykle.

Powracaliśmy około godziny dziesiątej do domu, znowu w długim szeregu, znowu w kurzu, jeżeli można jeszcze większym, tylko, że teraz obłoków pyłu tyle widać nie było. Ale jakto nazajutrz wyglądały suknie i kapelusze!

Wróciliśmy zgłodniali, spragnieni, to też herbata i wieszera były wyśmienite.

Dnia jednego siostra moja grała na fortepianie, jam krzątała się w koło, gdy nagle drzwi otworzono od przedpokoju i stanął w nich Roman Zmorzowski. Spojrzał na nas, poszepnął: „Same kobiety!“ odwrócił się i wybiegł.

Takim wtedy był dzikiem a potem zaliczano go słusznie do najprzyjemniejszych w towarzystwie ludzi. Mówił ładnie, ładną polszczyzną, umiał wszystko ubrać powabnie i pamięć miał wdzięczną.

W pierwszej połowie czerwca odbywały się, jak zwykle, wyścigi konne. Więc pojechaliśmy także.

Dużo napłynęło obywatelstwa, nawet i ze stron dalszych. Pan Władysław Wężyk miał także konie do wyścigów.

Tuż przed rozpoczęciem, gdy wszystko już było w oczekiwaniu, przybiega August zaperzony i mówi nam:

— Paszkiewicz, zobaczywszy Wężyka z wielką brodą, wydał rozkaz, ażeby brodę zgolił natychmiast, bo inaczej nie pozwoli, by do wyścigów należał.

Zrobił się harmider wielki... Władysław Wężyk nie ogolił brody i konie jego nie ściagały się weale. A nazajutrz zaraz podał się o paszport emigracyjny.

Trzeciego dnia potem był u nas na pożegnanie, z brodą piękną zawsze, w czarnej czamarce. Widziałam go wtedy po raz ostatni.

Chłopcy na ulicach z tej okolicy, wyśpiewywali świeżo zrymowany krakowiak:

Kto chce na koniu swawolić,
Musi wprzód brodę ogolić.

W końcu czerwca zatrzymał się w przejeździe za granicę w Warszawie, Dionizy Skarzyński z Au-

gustowskiego. Przywiózł list do Augusta od Wincentego Dawida.

Miał wtedy lat dwadzieścia kilka. Duszę wrzącą, pełną poezyi, z gorącym pragnieniem usłużenia krajowi, stania się użytecznym współbraciom.

Z Augustem szczerza od razu związała ich przyjaźń i po dniach całych przebywał z nami. Obwoziliśmy go wszędzie, bo nie znał jeszcze Warszawy wcale a zajmowało go wszystko, jak to Polaka gród mazowiecki, pamiątkowy nasz królewski zabytek zajmować powinien.

Gdy wyjechał, pisywał do Augusta z zagranicy. A gdy do swojego powrócił majątku, w Augustowskie, słyszeliśmy wiele, bardzo wiele o jego dążeniach znacznych i czynach szlachetnych, z którymi nie pochwałał się nigdy.

W r. 1846 był znowu na dni kilka w Warszawie, w lipcu, a wszakżeż to był rok trwogi i wielkich nieszczęść krajowych... W parę też miesięcy potem, wraz z wielu innymi obadwaj bracia, Dionizy i Onufry aresztowani zostali w domu i odstawieni do cytadeli warszawskiej. Wiedzieliśmy zaraz o tem i ubolewaliśmy serdecznie.

W roku 1848 uwięziony August zastał ich jeszcze w cytadeli, a potrafilি powiadomić siebie o tej wspólnej niedoli nawzajem. Po roku August został wywieziony do Zamościa. Skarzyńscy nieco później do Tobolska po trzech latach śledztwa i srogięgo więzienia, które ich zdrowie wyniszczyło, niełamawszy ducha. Później jeszcze o nich pomówię.

Pierwsza połowa r. 1843 obfitą był w Warszawie w rozkosze muzyczne. Zachęcał, czarował Dreyschoek, Liszt a poprzednio Thalberg. Urządzone *Matinées musicales*, na których tacy dawali słyszeć się mistrzowie, przewiele ściągaly słuchaczy.

Na cześć Dreyschoek'a krążyła rycina, gdzie z trzema kopami przedstawiono go palców: *drei Schock*. A następnie wyrysowała któraś z panienek Liszta, dając mu na klawiaturze nieprzeliczoną masę paley z podpisem: *Liszt a mille doigts*. Przytem różne, przeróżne, a najrozmaitszego smaku krążyły anegdotki o gorącym uwielbieniu i zachwycie dla tego wielkiego maestra, który nietylko urokiem tonów czarował.

Włodzimierz Wolski i Roman Zmorski stworzyli ku czei jego dwie śliczne poezye, które mu Edward Dembowski, jako redaktor, oddając wizytę, ofiarował, elegancko odbite. Liszt odebrał je z podzięką w pięknych zawartą wyrazach; wyjął szpilkę brylantową, którą zwykle nosił i prosił, by ją na pamiątkę przyjął. Dembowski zmieszał się nieco. Szpilkę zatknął. Pokłonił się i wyszedł. A nazajutrz przesłał mu także jako upominek wzajemny, kosztowny pierścień z brylantem.

Przypomina mi to znany w Warszawie wypadek. Znakomity artysta dramatyczny, komik Żółkowski posiada szczególną sztukę naśladowania różnych osób. Otóż razu jednego przedstawił w komedyi, nie pomnę której, postać poważnego powszechnie prezesa Tymowskiego, którego odznaczało szczególnie, że na łysinę dość dużą zaczesywał włos biały i złotym przytwierdzał go grzebienie.

niem. Żółkowski naśladował go doskonale: chód, ruch każdy, a nawet i akcent mowy. Nazajutrz spotyka go Tymowski, wita z uśmiechem i na śniadanie zaprasza. A po śniadaniu odzywa się:

— Naśladowałeś mnie pan wybornie, że i sam, patrząc, sądziłem prawie, że siebie widzę w zwierciadle. Nawet i ubiór odwzorowałeś wybornie. Nie dostawało tylko jednej rzeczy, i tę zechciej przyjąć odemnie, by już na raz drugi nie brakowało niezego, wyjął z koszuli piękną szpilkę i zatknął ją w żabot artysty.

Żółkowski już go wszelako nie przedstawił raz drugi. Boć też tylko na raz taka bywa sztuka.

W czerwcu przybyli oboje Dembowscy do Warszawy. Byli u nas i zaprosili na herbatę do siebie do hotelu Rzymskiego. Zastaliśmy u nich Narcyzę Żmichowską, Romana Zmorskiego, Skimborowicza i jeszcze parę osób.

Rozmowa toczyła się ożywiona, a rozniecała ją głównie nasza genialna poetka. Mówiła dużo, i chętnie miłego dźwięku jej głosu i tego co dowodziła słuchałam. Szczupłej, wiotkiej postaci, rysów twarzy miłych, na której, zdawało się, uśmiech nie częstym bywa gościem, z wyrazem wyższej myśli i z głębią spojrzenia w oku, jednała sobie uwagę i sympatyę odrazu.

Roman Zmorski był dziwnie ponurym tego wieczora, a może przyszlą dołą czy niedołą przeżuwał.

Wyszliśmy po herbacie na balkon. Noc by-

ła prześliczna: niebo ciemnego błękitu miliardami gwiazd posiane. Księżyc świecił uroczco. U stóp naszych ciemniała wązka ulica Trębacka. Mało już na chodnikach jawiło się osób. Milczaliśmy, każda znać własnej oddana zadumie. Spojrzałam na Narcyzę, lica jej były blade, oczy głębokim wzrokiem gdzieś tam tonęły daleko. Wejrzałam na Aniełę Dembowską, była uśmiechnięta i spoglądała swobodnie.

W dni kilkanaście potem Dembowscy i Roman Zmorski popehnięci na tulaństwo zostali.

Edwarda Dembowskiego widziałam wtedy po raz ostatni.

Tegoż samego roku 1843, nie pomnę miesiąca, sprawa pani Pawłowej Mierosławskiej rozstrzygnięta w senacie została.

Miała protekcyę wielkie: księżnę Michałową Radziwiłłową, księżnę Teresę Jabłonowską, hrabiankę Teresę Kicką, która wtedy wiele widywała u siebie p. Eliazewicza, Litwina, dyrektora kancelaryi przyboocznej ks. Paszkiewicza, człowieka wielkiego znaczenia i wpływu, a bardzo gorliwego katolika.

W dzień terminu pojechaliśmy z panią Mierosławską i jej dwiema córkami na sądy. Praw jej bronił mecenas Wincenty Majewski, przeciw mecenasowi Osowskiemu.

Sala była przepelniona. Wszystkie protegujące ją zjechały się panie.

Prokuratorem senatu był wtedy radca stanu, Tyss, mąż wielkich zdolności i wymowy słynnej.

Wystąpił. Cisza zaległa w koło. Uwaga całego zebrania była jak najwięcej nastrojoną.

Tyss nie miał podobno więcej jak lat czterdzieści. Był dość wysoki i składnej postawy. Rysy miał przyjemne, szlachetne. Cere bladą przy ciemnych włosach. Głos dźwięczny i język piękny. Wniosek znamienitego mówcy-prawnika szczerze był przychylnym dla pani Mierosławskiej. Mówił długo, żadnego nie pominął szczegółu, mówił z namaszczeniem, aż do wysilenia. Czynił wrażenie wielkie a ogólne. Pani Mierosławska płakała i jej córki płakały... Raz po raz Tyss uniósł rękę, w której amarantowy trzymał fular i przycisnął ją do piersi, bo znać go bolała. Robiło to efekt a niektórzy sądzili, że to dla wrażenia czynił, lecz jak najniesłuszniej. Cierpiał rzeczywiście głos podnosząc i też niezadługo potem skończył w Nicei na chorobę piersiową.

Po prokuratorze przemawiali mecenasi. Ś. p. Majewski bronił gorliwie, o ile podolał, klientki swojej. Sprawa miała ogólne za sobą współczucie, podobno i sprawiedliwość, ale prawo po jej nie stało stronie.

Wyrok zapadł. I przyznano pani Mierosławskiej tylko kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich z jej posagu.

Do ciekawych, niemal typowych postaci, należeli: hrabia Męciński, także przedstawiony w komedyi którejś przez sławnego komika i major b. w. polskich, Narwoń.

Ten ostatni poczciwego, polskiego serca, dowcipny, trafny, rzucał niekiedy głośno uwagi swoje o Moskalach i t. p. a uchodziło mu to szczęśliwie, bo mniemano, że jest narwanym.

Gdy zmieniono mundury szkolne na ciemnozielone z kołnierzem paśowym i także furazerki, zupełnie jak nosi policya, Narwoń stanął na Krakowskiem-Przedmieściu w południe, a gdy młodzież starsza i młodziutka wysypała się z klas gimnazjalnych koszar Aleksandryjskich, począł wołać na całe gardło:

— Gwałtu! Gwałtu! Policya się okociła!

Aresztowano go oczywiście, ale i puszczono niebawem.

Hrabia Męciński, przewany mandarynem, był to sobie niby grand hiszpański, wyzuty z majątku, a drapujący się w tem większą butę rodową. Sławnym był jego proces, który Matee Boskiej Częstochowskiej wytoczył. Jakiś tam jego przodek, wychodząc na wojnę, złożył w klasztorze częstochowskim brylanty wielkiej wartości i kosztowności inne. O zwrot tych bogactw wytoczył zatem proces, twierdząc, że były klasztorowi tylko do przechowania oddane, gdy, przeciwnie, zwierchność klasztoru twierdziła, że one darowizną były. Proces na niekorzyść hrabiego Męcińskiego rozstrzygniętym został.

Był to mężczyzna wysoki, dość silnie zbudowany, lecz chudy; wyprostowany w krzyżu, ale nieco powłóczący nogi. Cery ciemnej, rysów ostrych, z zadartą dumnie brodą. Ręce, w których trzymał łaskę, zakładał zwykle na plecach. I tak można go było dnia każdego w ogrodzie Saskim spotykać.

Gdyśmy z mężem siedzieli tamże na ławce, zwykle przysiadł się do nas. Lubił prawie o świetności swojego rodu i rozległych majątkach. Posłyszawszy nazwisko czyje, zapytywał zaraz, jakim pieczętuje się herbem, których świadomość dość miał obszerną. Opowiadał o swoich różnych faktach i dowcipach, które zawsze Warszawę bawiły. Trąciły wszelako niekiedy cynizmem i czelnością pewną.

Otóż jeden z lepszych: stał na Saskim Dzieźnię, gdy już zbierała się parada. A właśnie odbyć się miała przed którymś z książąt i jakimś gościem zagranicznym. Policyant przystępuje do niego i przemawia:

— Panie hrabio, tutaj stać niemożna.

— A to, durniu, przynieś mi krzesło! — odpowiedział patrząc nań z góry.

Innym razem znowu widział wchodzącego do restauracyi francuskiej pana N. N., którego opinia publiczna potępiła jako podejrzanego o wydanie emisaryusza w ręce moskiewskie, w jego chroniącego się lesie.

N. N. usiadł sobie przy stole. Hrabia wszedł, obejrzał się wkoło, skinął mu głową i usiadł obok. Uradowany N. N. tą oznaką grzeczności, od którego, jak od paryasa uciekali wszyscy, aż się porwał z krzesła, by mu ukłon oddać.

— Gorąco dzisiaj — wymówił hrabia, ocierając pot z czoła. — A co to oni tu dziś mają? — i sięgnął po spis potraw.

— Może pan hrabia pozwolisz do mojego stolika? Bardzo proszę! — zagadał ośmielony N. N. —

I racz hrabia zadysponować wedle gustu, a miło mi będzie spełnić rozkazy.

— Pan dobrodziej jesteś podobno pan N. N.

— Tak jest, panie hrabio.

— A, no... — Męciński powstał ociężale. — Skoro pan dobrodziej wzywasz, bo inaczej ja byłbym zaprosił: nie lubię sam jadać — i usiadł przy stoliku pana N. N.

— Markier! — zawołał ten ostatni. — Racz pan hrabia wybrać potrawy.

Męciński poprawił okularów. Pomrukiwał coś tam, czytając spis podany i wybrał co tam znalazł najwykwintniejszego. N. N. czuł się szczęśliwym nad wyraz. I kazał podać jakieś wino wyborne i butelkę prawdziwego Cliquot.

Poczęli zajadać smacznie, rozmawiając o potocznych rzeczach. Poczem hrabia już po wetach i po szampanie zagadał:

— Pan dobrodziej jesteś ze *skiego?

— Jestem ze ***skiego, panie hrabio.

— A, a! To zapewne syn pana Chryzostoma?

— Ojcu mojemu było imie Barnaba.

— Barnaba!... Nie znalazłem. A czy matka pańska nie była z domu *...ska?

— Nie panie hrabio.

— Ojcu było imie Barnaba... Pan mieszkaż w***skiem. — Wyprostował się hrabia nagle i zadarł brodę — czy pan nie jesteś z *....?

— Tak panie hrabio — zmieszał się N. N. i poczerwieniał.

— A fe! — hrabia porwał się jak oparzony i głośno zawołał:

— Markier! markier! Podaj mi tam na ten stolik w kąciku czarną kawę. Tutaj przy tym siedzieć nie mogę. Fe! fe!

Zwrócił uwagę wszystkich, spojrzenia i śmiechy. Przybrał wyraz wstrętu, pogardy i przy dalekim usiadł stoliku. Odurzony, przybity N. N. za płaciwszy za dwa obiady i wino, wyniósł się czempredzej.

Zjechała do Warszawy Lolla Montez. Występowała w teatrze w tańcach narodowo-hiszpańskich i oczarowała wszystkich wdziękiem urody i powabem tańca, jakkolwiek niebaletniczego weale.

Była na audyencyi u ks. Paszkiewicza—i opowiadano, że namiestnik okazał jej pewne zdziwienie, iż będąc tak młodą i piękną jeździ sama po świecie. Na co mu odpowiedziała:

— *L'honneur est ma mère et ce poignard mon père.* Sztylet nosiła zawsze.

Później coś tam zaszło zakulisowego pomiędzy nią a generałem Abramowiczem i żoną jego. Różne o tem krążyły opowiadanki, ale niepodobna ich powtarzać. Zresztą któż wie, co tam prawdą było!

Lolla Montez miała jeden jeszcze występ i wiedziano, że generał nakazał, by ją wygwizdano.

Przybywając do Warszawy przywiozła z sobą listy do kilku osób, mianowicie też do bankiera Piotra Steinkellera, któremu Warszawa i kraj zawdzięczają niejedno; i do Antoniego Lesznowskiego, redaktora „Gazety Warszawskiej”, jednego z najpopularniejszych ludzi. Dorożkarze np. nazywali go

pomiędzy sobą: nasz pan Antoni, albo nawet i po prostu: nasz Antos.

Panowie ci zajęli się szczerze powodzeniem polecanej sobie Lolli, tem więcej, gdy jakieś otoczyły ją prześladowania. Więc też na ono przedstawienie przysposobili licznych klaskaczy. Pan Piotr Steinkeller miał do dyspozycyi całe biuro swoje, służbę i fabrykę powozów brata swojego, licznych zatrudniającą robotników. A pan Antoni Lesznowski drukarnią itd.

Teatr był przepelniony i wszystko w oczekiwaniu.

Podniesiono zasłonę. Ukazała się urocza postać Hiszpanki i jednocześnie ozwały się liczne gwizdy, piszczałki, syczenia i klaskanie grzmotne, nie tylko rąk, ale i jakichś ku temu sporządzonych kłapek.

Stuk, huk, hałas był straszliwy; ścieranie się dwóch wrogich żywiołów, istny przewrót, i to w Warszawie obsaczonej policyą! A potrzeba dodać, że pomiędzy klakierami było oficerów dużo, których zachwycała piękna z po nad Ebru dziewica.

Generał Abramowicz był z żoną w loży i wychylał się z niej z groźnym oczów i twarzy wyrazem.

W ciągu całej tej burzy stała Lolla Montez na przodzie sceny, z założonemi rękoma, patrząc się spokojnie, z iskrzącem okiem i półuśmiechem na ustach, na zażegnione żywioły.

Hałas zmniejszać się począł, znać na chwilę unużyła się walka. Piękna Lolla bliżej przystąpiła jeszcze i poruszyły się jej usta rumiane, jak gdyby przemówić chciała.

Syk i klaskanie raz wzmogły się jeszcze. Potem niby drugie zwyciężyły pierwsze i wreszcie chwila nastąpiła ciszy.

Lolla Montez rozwarła ramiona, skłoniła się publiczności, dziękując za okazane jej współczucie i dodała: „Spotkała mnie wielka a gorzka nieprzyjemność, którą mi zgotowali *ce monsieur et cette dame!* — wskazała ręką i śmiałym wejrzeniem łożę generała Abramowicza — „ale o Warszawie drogie wywozę wspomnienie!..!” — pokłoniła się znowu.

Zasłonę spuszczone nagle. Burza podniosła się znowu, syk, świszczanie i oklaski grzmotne. A policya przy wszystkich zjawiała się wyjściach.

Przed hotel Rzymski, gdzie mieszkała Lolla Montez, zaszedł powóz ekstrapocztowy, a do jej pokoju wpadło dwóch policyantów, bezuważnie na starego sługę, Hiszpana, który ich chciał powstrzymać i oznajmili pięknej Lolli, że ją natychmiast do granicy odstawią. Zaledwo tyle pozostało jej czasu, by się na drogę w ciepłe opatrzyć odzienie.

Pan Piotr Steinkeller został aresztowany i osadzony na odwachu. Toż samo i pan Antoni Lesznowski. Obaj w tej kozie pozostali przez cztery tygodnie.

Prócz nich było aresztowanych więcej jeszcze osób, a podobno i oficerów kilku.

W roku 1845 mieszkaliśmy w pałacu Paca przy ulicy Miodowej.

W tym czasie odwiedzał Kornel Ujejski Warszawę i młody poeta pełen zapału i wyższych idei

nadzwyczaj przyjemne, sympatyczne czynił i pozostawił wrażenie.

Podarował mi piękną poezję „Siejba”, niewiem czyli później gdzie drukowana była, która, niestety, w powodzi przejść różnych... gdzieś tam zaginęła z wielkim żalem moim. W Warszawie nie byłaby nigdy przeszła przez cenzurę. Kornel Ujejski pisywał do Augusta. Potem do mnie i przechowuję śliczne jego listy.

Tegoż lata przybył do Warszawy z Lubelskiego także i Karol Baliński, przed niedawnym dopiero czasem, po latach kilku ze Syberyi z powrotem. Bolesnym był widok jego, a po nad wszystko sympatycznym. Cierpienie głębokie, przejmujące go na wskroś, było w każdym jego wyryte rysie. A zarazem i fizyczność złamana. Mówiono, że przed wywiezieniem na Sybir należał do najprzystojniejszych młodzieńców. Powrócił zmieniony całkiem: szkielet z ranami na twarzy. „Farys” jego, Farys, poeta, wielkie wywołał wrażenie, pięknością swoją, siłą, poezją prawdziwą. Zygmunt Krasiński o tym utworze z wielkim mówił uznaniem.

Smutny, rzewny, tkliwy, mimo to Karol Baliński umiał być w towarzystwie przyjemnym. Poruszał i zjednywał sobie współczucie na zawsze.

Serdecznie mnie uradował śliczny upominek, który mi w albumie napisał:

Prześlizny, Sostro, uwilaś wieniec.

Niezapominki tylko i bratki;

Jednej im zorzy błyska rumieniec

I łono jednej żywi je matki.

I ja Ci, Siostrze, przynoszę kwiatek
 Polny, bez woni, choć barwy złotej,
 Przyjm go odemnie jak wdowi datek,
 Ja Ci opowiem jego przymioty:

Nie go nie zziębi, nie nie ustrasza,
 On zawsze jednym blaskiem goreje —
 To nieśmiertelnik — to wiara nasza,
 Nasze uczucia, nasze nadzieje.

Dnia jednego podałam z tegoż Albumu kartkę
 Teofilowi Lenartowiczowi—i napisał mi:

Żeby pracę uprzytomnić,
 Czyliż wam ją trzeba wspomnieć?
 Ten się pewno z nią ociaga,
 Komu radzi wspominają —

Więc choć różni piewcy grają,
 Jabyń nie dał i szeląga
 Za ich pieśni, zachęcania,
 Do stałości, do wytrwania.

Róbmy jako Bóg przykazał,
 Bez przypominień, bez czułości,
 Jako Chrystus grzechy zmazał,
 Tak my zmażem błąd starości.

Lecz po szeweku nie szlachecku,
 I polsku nie niemiecku —
 Z piórem, z szydłem, z czem kto może,
 Dalej dziatwa — pomóż Boże!

Przyszedł nazajutrz Antoni Czajkowski. Prze-
 rzucił kartki, podałam mu próżną z prośbą, ażeby
 ją zappełnił.

— Pozwól pani, że odpowiem Teofilowi na tej
 samej kartce, na odwrotnej stronie—i napisał:

Cheesz pamiętek? — więc w pamięci
 Niech się stara Polska święci,
 Lecz rodzima, nie niemiecka,
 Więc nie szeweka, lecz szlachecka.
 Owdzie szlachta, jak oliwa
 Po wierzechołku tylko pływa;
 U nas szlachta, to kość z kości,
 Gminowładna wśród miłości.
 U nas szlachta nie oliwa,
 Ale z ludem jedno piwo,
 Co to cicho pływa w kadzi,
 Ale korek w lot wysadzi.

Potem napisał mi Włodzimierz Wolski w dal-
 szym ciągu:

Jakieś dziwnej pieśni chcecie,
 To barwistej, to jałowej,
 Niby wiecie i nie wiecie,
 Ze pieśń serca mówi słowy.
 A choć wrzawa, strach i bieda,
 Serca głos stłumić się nie da.
 Temu przeszłość, jak oliwa
 Wciąż po wierzchu myśli pływa.
 Drugi mówi trocha twardziej,
 Całą młodych mar swoboda,
 Całą piersi siłą młoda
 Czynu woła — ale gardzi
 Matką swoją, pieśnią gardzi,
 Pieszczot jej niepomny syn.

A wiecież co wywoła czyn?
 Pieśń — to jedna tylko broń!
 Lecz żeby jej twardy dźwięk

Pałac serce, zbroił dłoń —
 Nie po pańsku i niemiecku,
 Nie po szeweku i szlachecku —
 Lecz po chłopsku, z sierpem, z kosa,
 Tnąc koleczastych chwastów pęk.
 Kiedy dziewczki snopy niosą —
 Mazowiecką nutą ona —
 Grzmieje — aż ta Wisła stara
 Zarumieni się czerwono,
 Aż jej brzegi hukną głośno
 I bolesno i radosno:
 Naprzód chłopcy! Naprzód wiara!

W końcu przyszedł Aleksander Niewiarowski
i przeczytawszy zapelnione kartki, zawołał:

— A ja znowu inaczej napiszę.
Usiadł i napisał:

Trzech tu wieszczów potroiście
 W trzy bardony się ozwało:
 Pierwszy wyrzekł uroczyście
 (A papiście tak przystało):
 Że nie ze krwi, serca bicia,
 Świętych rzeczy miłość wstaje,
 I symbolem zrobił życia
 Dyplom, co szlacheetwo daje!!! —
 Drugi — szewców od warsztatu
 Chee oderwać — by szydlami
 Wywalczyli wolność światu! —
 A ostatni — znów z chłopami
 Chee po chłopsku szczęście stworzyć,
 I historyzm wraz z berłami
 W demagogii dłonie złożyć. —
 Ja was, Bracia, nie pojmuję,
 Ni różnicy stanu wtedy,
 Kiedy dłoń się z dłonią skuje,
 By rozszarpać harpię biedy...
 Wtedy wszyscy, co powstają,

Każdy, w kim się życie zbudzi:
 Wszysey jedno imię mają —
 Jedno wielkie imię: Ludzi.
 Więc nie działać po szlachecku,
 Chłopsku, szeweku, ni niemiecku,
 Lecz po ludzku! z prawdą, wiara!
 Z anielskimi pojęciami,
 Myśl swobody, matkę stara!
 Wyplastować — by czynami
 Odmłodziła i ożyła
 Piękną, jak w dniach wiosny była.

Życie — znaczy się czynami,
 Śmierć — bezwładność ma wyrazem.
 My więc, Bracia, my pieśniami
 Waleczmy razem, zawsze razem:
 Bo co zmarło — to niech gnije —
 Lecz co żywe — niechże żyje!

— Papista! — wymówił w kilka dni później
Antoni Czajkowski, przeczytawszy całość — zkądże
mi taką dał nazwę?

Gdy Franciszek Gąsiorowski powyższych czterech
przeczytał poetów—zawołał:

— Narody kłękają i... biorą się za karki!...
Tożże i ja pożądam do takiego wejść Pantheonu!—
podjął kartkę i napisał:

„Przeszłość niepowrotna — przyszłość nie do
obliczenia — obecność sama jest jedyną własnością
człowieka: to jego ziemską dziedziną. Pojmujmy ją
rozumem, uczujmy sercem, a ten obzyr bezduszny,
umarły, ducha i życia nabierze.

Franciszek Gąsiorowski.

W Krakowie zaczął wychodzić „Dwutygodnik literacki“ pod redakcją Walerego Kurowskiego — i zostaliśmy do współpracownictwa wezwani. Po-
dążyliśmy chętnie z przyczynkami. Zawiązały się
z Krakowem stosunki. I otrzymałam śliczny od Ed-
munda Wasilewskiego upominek:

Świętych pamiątek tu takie mnóstwo,
Po którąż zwrócę mą rękę?
Ja w piersi mojej czuję ubóstwo,
Żeby ją zakląć w piosenkę.

Czyli z trzech mogił gwoździki polne,
Czy kamyk z królów grobowca?
Czy drzew wiślańskich poświsty wolne,
Lub tęskną piosnkę wędrowca?

I myśl się moja chwieje w wyborze,
Nad Wisłą chmurno i smutnie —
Lecz gdy różowe zabyśnie zorze,
O! to wnet nastroją lutnię.

Kraków, 5 lipca 1844.

Edmund Wasilewski.

Nieskończenie drogą jest mi ta pamiątka —
toć to dziś już relikwia prawdziwa.

Powtórzę tu wypadek, niejednokrotnie już opo-
wiadany, o który J. Słowacki bardzo wyraźnie
w swoim „Kordyanie“, w rozmowie cesarza Mikołaja
z w. ks. Konstantym, potracił, o którym powieść
nawet i w niemieckich napotkałam pismach. Otóż
jak mi rzecz tę opowiedziano: Przybyła — za rzą-
dów ks. Konstantego, młoda i piękna Angielka do
Warszawy, krewna zmarłego bezpotomnie Anglika,

kupca i t. p. — w celu podniesienia po nim sukce-
syi. Przedstawiała się Namiestnikowi królestwa—
i wszelkie potrzebne uczyniła starania. Dnia jédne-
go otrzymała zaproszenie na wieczór — niby to do
zamku— i o naznaczonej godzinie w balowem poje-
chała ubraniu. Nie powróciła więczej do najętego
czasowo mieszkania, i różnie to sobie tłumaczono—
a wreszcie i zapomniano.

W pałacu dawniej Branickich, był lokal, wiel-
ka sala i pokoi parę, które wynajmowała zwykle
niższa warstwa kupiecka lub zamożniejsza rzemieśl-
nicza i t. p., na obchody weselne, albo też baliki
składkowe. Inaczej apartament ten stał pustym.
Dnia jednego przybył pan jakiś do gospodarza i na-
jął te pokoje. Dał zadatek i zapowiedział, że meble
przyśle niebawem. I też niezadługo przynieśli tra-
garze wielką szafę, którą w narożniku ustawili—
a podobno, że i krzesel parę. Ale na tem się skoń-
czyło—i ani lokatora widać nie było—ni też sprzę-
ciku żadnego. Uplywały dni, tygodnie — gospoda-
rzowi było dziwno, zapytał w „Kuryerze“ o loka-
tora swojego — ale pozostał bez wieści. Uplynęły
miesiące—i nikt się nie zgłosił.

Nastał czas przedadwentowy. Wydarzyło się
wesele jakieś —i apartament na ten obchód wyna-
jęty został. Wyfroterowano posadzkę—pownoszono
potrzebne meble—w piecach napalono.

Po odbyтым ślubie, weselni zebrali się goście.
Roznoszono poczęstne. Wreszcie ozwała się muzy-
ka—i rozpoczęły się tańce.

Nagle powstał zaduch straszliwy... nie do znie-
sienia. Pań parę zemdlalo... Otworzono okno—ka-

dzono—ale nie nie pomogło: zaduch coraz był straszniejszy—i przekonano się, że pochodzi z wielkiej szafy, stojącej w narożniku. Przywołano gospodarza... żądano, by szafę otworzył. Ale klucza do niej nie miał. I wreszcie uradzono, że komisarz cyrkulowy który przywołanym został, szafę otworzy... Okropność przedstawiła się ciekawym: trup kobiecy—przez robaectwo stoczony—w sukni białej atlasowej—w kwiatach—ze złotymi koleczkami i tp. Przerażenie było straszne — i wszyscy goście pouciekali.

Sledztwo wytoczonym zostało—a potem ucichło wszystko, i tylko różne, przeróżne krażyły przypuszczenia, domysły i t. d.

Jeden ze znajomych naszych, urzędnik, miał w lat wiele potem akta tego śledztwa w ręku, bezużytecznie na zapyłonej spoczywające pulce. Bo już nigdy więcej kwestya ta poruszoną nie została.—Znać młoda Angielka sierotą była—i nikt o nią nie dopytywał się wcale.

Było to w jesieni, gdy zjawił się u nas młody Niemiec, pan Peschke, Sas, z listem rekomendacyjnym hrabiny Żaluskiej, był to muzyk, zarazem skrzypek i pianista, biegły w sztuce swojej i teoretyk dobry. A pragnął osiedlić się w Warszawie i stałe znaleźć zajęcie.

Żył wtedy jeszcze sędziwy Elsner, sławny dyrektor muzyki, więc zaprosił go August na wieczór, jako też pana Józefa Sikorskiego, słynnego muzyka, a późniejszego redaktora „Ruchu muzycznego“, by

im pana Peschke przedstawić. Przybyli także państwo Wójcicy, nasi codzienni goście, młodzi literaci—i jeszcze parę osób.

Peschke grał na skrzypcach—i znawcom znakomitym podobał się bardzo.

W tem otwierają się drzwi i pan Karol Witte wprowadza niemłodego mężczyznę—dość wysokiego, szczupłego, rysów szlachetnych, bladego lica—z wyrazem fizycznego cierpienia, ale przyjemnym bardzo. Był nieco łysawy, nosił okulary, ruchy miał powolne.

— Pan Józef Korzeniowski—przedstawił go pan Witte.

Byłam nieskończenie uradowaną i obiedwie ku niemu wyciągnęłam ręce. A znakomity powieściopisarz, dramaturg i badacz charakterów ludzkich i fizjonomii, wyczytał to pewnie z twarzy mojej—bo na zawsze, poszczycić się tem mogę, przyjaźń i życzliwość okazywał mi swoje.

Józef Korzeniowski zjechał do Warszawy, by odwiedzić brata, a zarazem w interesie przesiedlenia się, co też w roku 1846 nastąpiło.

Pan Peschke otrzymał miejsce w orkiestrze—i zaliczają go do sił pierwszych muzycznych w Warszawie.

Niezadługo potem przybył do Warszawy baselista, Samuel Kossowski, z rodziną swoją.

Mąż mój znał go już z bytności poprzedniej—i w obronie talentu jego kruszył kopie w dziennikarstwie warszawskiem, w obec krytyki dość jemu

nieprzychylniej. Ztąd powstało dlań wdzięczne uczucie państwa Kossowskich. Pisywali do Augusta z Berlina—gdzie akademicy polscy ziomka-basetlistę podnosili o ile mogli; dalej z Poznania—gdzie sobie wielu, bardzo wielu serdecznych zwolenników, a nawet i wielbicieli pozyskał. Gdy więc do Warszawy przybyli w listopadzie 1844 r., odwiedzili nas zaraz. Naprzeciw pałacu Paca, w pałacu dawniej Chodkiewiczów był lokal niezajęty, i państwo Kochanowsy ofiarowali im to mieszkanie. Mieliśmy ich zatem w bardzo blizkiem sąsiedztwie.

W pierwszą niedzielę grał Samuel Kossowski u nas wieczorem—i mnóstwo zebrało się osób.

Na mnie miękkie; śpiewne, żalosne, głębokie tony basetli jego nieokreślone zawsze sprawiały wzruszenie—wdzierały się w głąb duszy—a łzy, mimowiednie niemal płynęły mi z oczów.

I nie na mnie samej takie sprawiał wrażenie. Widziałam łzy w oczach pani Wójcickiej i panny Walerii Brzozowskiej, późniejszej pani Kochańskiej. Teofil Lenartowicz pobladał. Włodzimierz Wolski silnej dostał pulsaeyi, a Niewiarowski Aleksander powtarzał: że bzika dostaje.

Gdy później wiele rozeszło się osób, dażąc na inne jeszcze wieczory, a ściślej tylko pozostało kółko—pamiętam żywo ogólną, wesołą zabawę. Lenartowicz wpadł w dobry humor, Wolskiemu nie zbywało na nim, i zaśpiewali nam duet przy fortepianie, o czem dziś już i nie pamiętają, pewnie.— Był to jakiś duet, w którym kawaler oświadcza się pannie. Panną był Lenartowicz, cedzącą słówka przez zęby i przewracającą oczy, chociaż to niby

spuszczała je skromnie. Wolski był kawalerem z włosem rozchwianym—z deklamacją tragicomiczną. Przedstawienie arcy-komiczne wszystkich w ciągłym utrzymywało śmiechu.

Dalej nastąpiły deklamacye różnych prześlicznych poezyi—to poważnych, to humorystycznych narzemian. I przeczytano wiersz nader piękny Narcezy Żmichowskiej, który panu Samuelowi ofiarowała w Poznaniu.

— Nie przypuszczałam, że pan potrafisz być tak wesołym—zagadła panna Walerya do Lenartowicza, bom pana nigdy jeszcze w takiej, jak dziś, nie widziała *wenie*.

— Och, pani, odrzekł — to są chwilowe wybryczki, iskierki... ale na dzie duszy posępnie:

„Tyle szczęścia, co człek prześni—
Tyle życia co jest w pieśni“.

— A gdy w duszy taka gra nuta, to wtedy śpiewa prześlicznie.

— Gdy cierpi...

— Wszakżeż cierpienie namaszczeniem jest poety—wmięszalam się do rozmowy— a bez bólu niema wieszczego natchnienia. Pan wszelako jeszcze nie przebolełaś tak wiele.

— Lecz mam przecucie wielkich cierpień i przyszyłych bólów.

— Och, Boże zachowaj!

— Nikt swójego przeznaczenia nie ujdzie...

Zanucila śpiewnie, żałośnie basetla jakąś podkarpacką, cudną piosenkę — aż niby ze łzami. Le-

nartowicz spuścił na dłoń czoło i dumal. A co tam w jego grało duszy!

Zchodziliśmy się niemal dnia każdego u Samuela Kossowskiego, ażeby jego posłuchać muzyki. A dużo niekiedy zbierało się osób. Przyszedł raz i pan Józef Korzeniowski — a gdy szczeropolską posłyszał nutę, łzy jak grochy płynęły mu z pod okularów.

Basetlista nasz był do kilku pierwszych zapraszany domów. I Warszawa ciepłem otoczyła go swoim.

Po różnych ceregielach... wyrobił sobie pozwolenie dania koncertu — ale wprzód musiał brode ogolić!

— Przecież tak nie możesz wystąpić, zagadał do niego generał Abramowicz, bo wyglądasz gdyby męczennik.

Po ogoleniu jednakże brody, osądzili wszysey, że pan Samuel zaprawdę, jak ofiarnik wyglądał.

Bywałam na próbach z przyjemnością nieokreśloną. A wspomnieć winnam, że wielką dla koncertanta był pomocą p. Peschke, jako też znany i ceniony pianista pan Wilczek.

Samuel Kossowski dał dwa koncerty, które nader liczną zgromadziły publiczność. I obsypano go oklaskami.

Pozegnaliśmy go następnie, oraz i rodzinę jego, ze szczerem współczuciem. Dał mi do mojej książki pamiętek swoją pieśń „O miodzie“, do słów Wincentego Pola.

Odtąd zawiązały się u nas wieczorki, na których, zwłaszcza młodszi literaci, bywali zawsze.

Jeden z najzacniejszych obywateli w Kaliskiem, wysłał był w tym czasie Aleksandra Miniszewskiego, znanego już jako autora powieści „Jan Pieniążek“ do Warszawy, w celu wyrobienia pozwolenia na pismo ludowe „Wieci“, i pozyskania współpracowników. Zamiar ten jednakże spełził na niczem — niestety!

Miniszewski przyłączył się zaraz do naszego grona — jako już dawniej literackim rówieśnikiem znajomy. Była to niezrównanej łatwości tworzenia i pisania zdolność. Pochwyił myśl jaką — i już w godzin kilka całe arkusze opowiadaniem zapelniał. Szkoda tylko, że bez głębszej podstawy.

Mówił wiele, a mówiąc, tak samo bujał w kompozyeyi... jak pisząc. Przytem wrodzony miał dowcip i nigdy mu odpowiedzi nie zabrakło.

— Miniszu, czemuż ty tak kłamiesz? — zagadał raz któryś z kolegów do niego.

— Dlatego, ażeby się prawda nie sponiewierała! — odrzekł bez namysłu.

Uważaliśmy go zawsze za człowieka dobrego serca, ale i wielce lekkomyślnego. Elegant z niego był zawołany, bo po dni kilka mógł żyć chlebem z serdelkiem, ale włosy miał zawsze ufryzowane, lakierki i jasne rękawiczki. Gdy mu nadpłynęło z kąd grosiwo, pierwszy sprawunek stanowiły pachnidła i t. p. O sobie zwykł mawiać, że jest „złotą rudą“.

Humor miał zawsze przedziwny. Na św. Augustyna napisał mężowi mojemu sążniste powinszowanie.

wanie, którego na próbkę „weny“ jego początek przytoczę—czyli adres:

„Zyczenia nie dla wina —
Data w dzień Augustyna,
A w ludzkich czynów, marzeń i nieszczęść potoku—
Tysiąc osiemset czterdzieści i szóstego roku.

Do

Miarą Wielmożnego
Kawalera krzyża naturalnego,
Filozofii chirurga —
Co niemieckie kwasy i utopije,
I..... pięścią bije,
Lancetem do krwi szturga,
A jako były wójt gminy
Rodowej strzeże gliny —
I obey kał, zepsucie, co w nią leżą czasem
Do protokołu bierze, odprawia ciupasem.
A jako podskarbi bogactw własnych,
Choć w szrankach ciasnych —
Rodową myślą i ezuciem rodowem
Opędza potrzeby w życiu domowem!!!

Nieraz za gadatliwość zbyteczną i improwizowania pogniwiali się na niego koledzy — i wtedy jam zwykle godzić ich musiała. Gorzej wszelako było z Bogdanem Dziekońskim — którego uwielbiał, wszędzie za nim biegał i przez to swoje uwielbianie niestworzone prawil rzeczy o jego genialnych pomysłach i czynach wielkich... kompromitując go wobec czujności rządu, który takich wielkości nie znosi. To też wskutek narady wymogli na nim koledzy—do czego zobowiązał się i dodać muszę, święcie dotrzymał—że nigdzie nie będzie bywał, a

pracował nad swoją „Zagrodą“—zbiór powiastek historycznych dla młodego wieku, którą „Biblioteka warszawska“ nabyła i pod napisem Aleksandra Starzy, wydała.—Po ukończeniu tej roboty, Miniszewski wyjechał na wieś do rodziców.

Przytoczę tu i wiersz jego, wpisany mi do Albumu—ile, że nieszczęśliwy ten człowiek później pod tak strasznym zostawał zarzutem — i tak okropnie życie zakończył. A grzechem jego głównym było podobno paplarstwo i blaga niepokonana.

„Przedrzemać żywot marnie, bez wieści —
Lepiej choć liehe pisać powieści.
Bo tęskno sercu bić w ciszy skrycie
I myśli młodej nie obleć w życie.
Smutno!—To prawda, że jedno seree
Gdy w spiz uderzy, hukiem zadzwoni,
To samo seree w morskiej gdzie toni
Zginie bez wieści.....

Wskażcie mi pole, roztwórzcie szranki,
Tę chmurną, ciemną zdejmcie zasłone,
Wzleczę ua skrzydłach do mej kochanki!
Jednym co i Wy ogniem ją plonę —
I dziw wam, Braacia, że chciwie, żwawo
Zaplotłem ramię w Wasze ramiona.
Grzechem zwą oni — za świętą sprawę
Kiedy kto wależy, kiedy kto kona...
Ja kocham moją przeszłość promienną,
Ja kocham ludzkość duszą płomienną!
Jedne uczucia, jedne nadzieje,
Jedna mi z Wami przyszłość się śmieje;
Choć bólnie dzisiaj — tęskno i smutno,
I ja odziany szatą pokutną
W ojezystej lutni struny uderzę —
Minionym wiekom piosnkę ze łzami,
Na jednym grobie zaśpiewam z Wami.

17 stycznia 1835 r.

Później jeszcze pomówię o nim.

Miewałam często ciekawe i ważne dzieła do przeczytania, za pośrednictwem jednego z dobrych znajomych naszych. I tak przyniósł mi pisma Platena Hollermünde, z wyjątkiem Polenlieder, które znałam już z kądinąd. Czytałam je z nadzwyczajnym zajęciem, a zastał mnie przy nich pan Hipolit Skimborowicz. Urodził się, zaprawdę, na redaktora, bo rzadko pod tym względem kto ma tyle zręczności, zabiegliwości i sprężystości w zdobywaniu i przeprowadzaniu artykułów. Zobaczył dzieła Platena i począł zaraz nalegać, by napisać o nich.

Zastanowiłam się, bo ani mi to w myśli powstało i nie czułam się bynajmniej na zdolności po temu. Lecz naleganiu odmówić nie mogłam gdy i August swoje *quam quam* dorzucił.

Po przeczytaniu zatem całego Platena, napisałam artykuł: „August Platen” dając dewizę z jego „Ulricha v. Hutten:

Und sollt' ich sterben einst wie Ulrich Hutten,
Verlassen und allein,
Abziehn den Heuchlern will ich ihre Kutteln,
Nicht lohnt's der Mühe schlecht zu sein.

Skreśliłam krótką biografię wieszczą i sprawozdanie z pism jego, przytaczając żywcem niektóre ustępy dość drażliwe, jak np. ze studjum: „Das Theater als Nationalinstitut”. O Polenlieder wspominałam tylko, jako o pieśniach pięknych a wzniosłych, przejmujących serce i duszę. Hipolit Skim-

borowicz przeprowadził wszystko przez cenzurę i w „Przeglądzie naukowym” umieścił.

W dni kilkanaście potem odbieram przez woznego wezwanie, ażebym na dzień ten i o tej godzinie w biurze cenzury stanęła. Było to zapewne nieco dziwne i niepokojące. Ale byłam słaba, więc tylko mąż mój poszedł, składając świadectwo mojego doktora.

— Jak to się stało — zagadał cenzor do niego—że pańska żona umieściła w „Przeglądzie naukowym” artykuł o Platenie? Wiemy przecie, że to jest autor zakazany surowo, nie tylko w Rosyi, ale i w Austrii i w niektórych państwach niemieckich. Bo to był człowiek burzliwego ducha i niebezpieczny, jakkolwiek może poeta wielki. Ale zkądżeż i od kogo miała pisma jego?

— Była tu matka żony mojej z Poznańskiego—odrzekł August przytomnie—miała z sobą dzieła Platena, żona przeczytała je i napisała o nich, nie wiedząc, że są zakazane.

— Ależ surowo, bardzo surowo! I mógłbym nawet posadę stracić swoją...

— To więc lepiej nie mówić o tem i słówka! Nikt z publiczności nie wie, że Platen jest zakazany, a ten artykułik nie znaczący przepłynie i w niepamięć pójdzie.

— Żeby tylko, żeby!... Wiedziałem przecie... alem przeoczył.

Zaszła podobno co do tego artykułu denuncyacya jakiegoś baczego przestrzegacza publicznego porządku i spokoju. Rzecz wszelako ubiła się szczęśliwie, boć tu i o cenzora chodziło.

A dziwnie to niekiedy w tej działo się cenzura, bo członkowie, niepodobna, ażeby przeczytali wszystko, więc przebiegali tylko artykuły do ocen-zurowania podane i czepiali się wyrażen, a nawet słów pojedynczych. Wyrazy np. Polska, ojezyczna, wolność i t. p. były raz na zawsze z cenzuralnego wymazane słownika. I możnaby było dantowski położyć napis:

Lasciate ogni speranza voi ch'entrate!

Do „Dzwonu literackiego” oddano wybornie opracowany, obszerny artykuł o Piotrze Steinkellerze, życiorys jego, prace i dążenia dla dobra publicznego, a cenzura nie dozwoliła go drukować! Nie tam przecież w nim nie było, coby w czemkolwiek o rząd potrafiło i t. p. bo jedynie li wykazano zasługi męża ze wszechmiar godnego, jako wzór szczęśliwych pomysłów, życia czynnego i obywatelstwa.

W zimie r. 1845 ukazał się na horyzoncie literackim „Sędziwoj” Bogdana Dziekońskiego, powieść fantastyczna w trzech tomach. Głównym bohaterem jest sędziwoj, znany alchemik za Zygmunta III. Ale wchodzą do niej i obcy, sławni alchemicy, jak to Sejton, Szkot i t. p. Jest to powieść w rodzaju „Zanonie’go” Bulwera, pięknie i zwięźłą napisana werwą. Mianowicie też rozdziały: „Tortury”, „Mistrz i uczeń” do najpiękniejszych na tem polu należą. Autor zbadał wszystko cokolwiek o „Sędziwoju” napisano, przewertował dzieła, o alchemii traktujące i bardzo sumiennie pracę swoją wykonał.

„Sędziwoj” w szerszych kołach mało jest znany, bo Bogdan Dziekoński kazał coś tylko cztery sta odbić egzemplarzy a z tych część znaczną rozdał pomiędzy przyjaciół i znajomych. Nie chodziło mu też wcale o rozgłos i sławę, bo pod tym względem był dziwakiem. Powieść ta jest zatem już dzisiaj rzadkością bibliograficzną.

W tym czasie przypadła straszna sprawa księdza Ściegennego, która nader bolesne wywołała przerażenie i wiele rodzin w ciężki pograżyła smutek.

Mówił mi jeden ze znajomych, który wyznanie wiary tego kapłana, wobec sądu komisji śledczej złożone czytał... że nigdy nie podobnie wniosłego nie zaznał.

Sprawa ta na lat kilkanaście gorzkie za sobą pociągnęła następstwa.

Młodsze grono literatów, zbierające się u nas, postanowiło pismo zbiorowe wydawać pod redakcją mojego męża. I zawiązało się towarzystwo pod nazwą humorystyczną „Cech głupców”.

Statuta zostały spisane — a wszystko humorystycznie.

Każdy z należących do towarzystwa wybrał sobie żartobliwy pseudonim. Na każde posiedzenie winni byli członkowie przynieść jaki przyczynek, czyli to rysunek, karykaturę, anegdotkę zgrabną, wierszyk dowcipny i t. p., co w księgę statutową zapisaniem zostało, a raz na miesiąc wykończoną pracę do pisma zbiorowego.

Każdą sesję zapisywano ze szczegółami i uwagami dowcipnemi. Ale zawsze ktoś inny spełniał urząd sekretarza.

Uzbierało się dużo obrazków różnych i humoresków. Ale to wszystko następnie uleść musiało zniszczeniu, zwłaszcza, gdy rok 1846 zawitał, gdy ciągle jawiły się rewizye policyi i groźne trwały aresztowania. Bo gdyby np. akta „Cechu głupców” były wpadły w ręce policyi, komisya śledcza byłaby wyrzekła, że to był Cech socyalistów, coś w rodzaju Maryanny lionńskiej, komunistów i t. p. zapelnilaby cytadelę przestępcami politycznymi i pociągnęła śledztwo przez długie lata.

Cech coraz więcej gromadził członków a nie tylko literatów. Zebrania bywały liczne, zajmujące i wesole bardzo.

Kilka szczególnie odznaczało się karykatur, Bogdana Dziekońskiego i Antoniego Zalewskiego z wielkich znanego zdolności. Jedna tegoż ostatniego przedstawiała posąg Minerwy, której lewą stronę redaktorowie „Biblioteki Warszawskiej” zarzucają ziemią, a Cech wieńczy prawą i hołdy jej składa. Młody artysta-rysownik pochwyił rysy jednych i drugich, że i każdego na rzut pierwszy oka poznano. Franciszka Gąsiorowskiego, np. przedstawił jako Satyra: był ułomny, a twarz jego nieco ostrych rysów znaczył wyraz inteligencyi, ironii a niekiedy sarkazmu.

Posłyszawszy o tym obrazku, przybiegł pan Franciszek, by go zobaczyć. Podaję mu tekę pomieszana nieco. Gąsiorowski przerzuca kartki, podejmuje Minerwę, patrzy i śmieje się, mówiąc:

— To ja jestem, ten Satyr, słowo daję!

— On pana pewnie i nie widział... — wtrąciłam.

— Widziała mnie gadzinka i schwyciła podobieństwo!—zaśmiał się znowu. A zauważyłam, że był zadowolony.

Później przeglądał u nas ten zbiorek p. August Krasieński, wielki lubownik podobnych dowcipu wybryczków; a następnie wyprosił z nich niektóre, u Cechu, dla niego pan Gąsiorowski. Czyli istnieją jeszcze? Nie wiem.

Wesole baraszki, deklamacye, improwizowane przedstawienia, zrodziły wreszcie i poważniejsze prace. Uchwalono pismo, któremu nazwę „Dzwon literacki” nadano przy odgłosie serdecznego Wiwatu!

Do składu redakcyi należeli: główny redaktor, August Wilkoński, dalej Bogdan Dziekoński, Teofil Lenartowicz, Włodzimierz Wolski, Józef Kenig redaktor „Gazety Warszawskiej”, Walenty Zakrzewski, Aleksander Niewiarowski, Józef Ćwierciakiewicz. Honorowym członkiem był Kazimierz Władysław Wójcicki, Karol Witte, Antoni Lesznowski i t. d.

Na pierwsze posiedzenie przyniósł Teofil Lenartowicz wiersz piękny na wstęp: „Dzwon”.

Rozradowały się serca zebranych temi uroczemi dźwiękami. Ale... przestroga Cenzura rządowa ślicznego „Dzwonu” nie przepuściła, z wielkim żalem wszystkich.

Kazimierz Władysław Wójcicki dał artykuł ściśle historycznej treści: „Samuel książę Korecki”. Wacław Aleksander Maciejowski „O Mitologii Polaków i Litwinów”. Henryk Lewestam; „O pracach

Augusta Cieszkowskiego". Ludwik Zejszner: „Rzut oka na budowę geologiczną Tatarów“. (Walenty Zakrzewski)—ty—ski: artykuł filozoficzny: „Ćwiczenia gramatyczne". Bogdan Dziekoński powieść: „Władysław". August Wilkoński ramotek parę. Włodzimierz Wolski: „Dominik Magnuszewski i jego pisma i t. d“.

Posiedzenia odbywały się we wtorki, liczne niekiedy bardzo. A bywały i panie.

Ściśle redakcyjne zbierały się różnie, jak tego wymagała potrzeba.

Zaproszono mnie także do Cechu. Ale nazwiska nie miałam żadnego. Głosu także w naradach i postanowieniach nie zabierałam nigdy.

Dawali następnie prace swoje do „Dzwonu literackiego": Profesor Jarzębowski, Dr Ferdynand Dworzaczek, Wincenty Smokowski, Karol Bachman dr O. P., Pułkownik Paszkowski, Oskar Kolberg, Antoni Białopiotrowicz, Karol Baliński, Ludwik Norwid, Michał Morzkowski i t. d.

Nastał rok 1846. Aresztowania bez liku, egzekucje krwawe i szubienice. Po wszystkich placach Warszawy dniem i nocą palono ognie i biwakowało wojsko. Patrole bezustannie przebiegały ulice: jeden wyjeżdżał a drugi wjeżdżał. Odbywały się każdej nocy rewizye. O zmierzchu nie wolno było bez latarki wychodzić. Trzy osoby z sobą na ulicy rozmawiać nie mogły. Kto ukazał się z brodą, tego schwymano na ratusz, gdzie mu ją zgolił, zostający tamże na ciągłej służbie, golibroda. Niekie-

dy aresztowany musiał przez dni kilkanaście w izbie przepelnionej różnymi ludźmi, w strasznej niewygodzie, zaduchu i brudzie przesiedzieć. Rogatki były zamknięte i nie wypuszczano nikogo bez legitymacyi. Wiele rodzin rosyjskich wynosiło się z obawy przed straszmem widmem rewolucyi na noc każdą do cytadeli.

Mówiono mi, że w chwili strasznej egzekucyi Żarskiego i Kociszewskiego, krwawych pałek Lityńskiego i Mireckiego i męki Dobrycza, Ruprechta, Deskura, których przeprowadzano pod szubienicą, jakby także na nią skazanych... Paszkiewicz niespokojnie, gorączkowo biegał po tarasie zamkowym, błady i zmieniony, znać bólem duszy nękany. Na rusztowaniu pod szubienicami kapłani trzech wyznań wykonywali smutne obrzędy świętego powołania swojego: ks. Karmelita przyspasabiał na śmierć katolików; pastor ewangelicki Ruprechta; pop grecki Stefana Dobrycza. Ks. Karmelita okazał najwięcej mocy ducha, lubo że bladym był jak mara. Kapłan grecki zgiął się pod brzemieniem obowiązku swojego. Pastor ewangelicki zemdlął i zniesiono go, jakby martwego z rusztowania.

Opowiadał nam pan *, posłyszawszy to z ust jakiegoś dygnitarza rosyjskiego: że wojsko jest do najwyższego stopnia podrażnione na mieszkańców za to ciągłe biwakowanie i niewygody, a jeszcze podlegają je emisaryusze polscy dla wywołania reakcyi, do rzucenia się na domy... i rabunku. Zatem trudno będzie rozjuszony powstrzymać żołdactwo.

Ta wiadomość zaniepokoiła bardzo, nie, ażeby

wierzono w poduszczenia jakichś emisaryuszów, których nie było weale. Ale raczej lękano się, że gwałty nastąpić mogą... których winę zwałą na emisaryuszów mniemanych, by sprawę nieszczęśliwego wychodźtwa zożydzić.

Poigranie jednakże z rozkielznanym motłochem, uznanem pewnie zostało, jako nader niebezpieczne, bo do niczego podobnego nie przyszło.

Nader smutna pogrzebowa uroczystość przypadała w tym czasie. Został już dawniej między innymi aresztowany młody poeta Klat, parę utworów jego było drukowanych w „Bibliotece Warszawskiej” i osadzony w cytadeli. Miał narzeczoną, córkę urzędnika, pannę Emilię Rogalewicz, młodziutkie, powabne stworzenie. Kochała go bardzo i była w rozpaczynie biedna. Matka jej zatem udała się z prośbą do generała Storożenko, prezesa komisji śledczej, by pozwolił widzieć się córce z narzeczoną. Uzyskała pozwolenie i pojechały do cytadeli. Widzenie trwało tylko dziesięć minut, według przepisu. Przy pożegnaniu wcisnął młody więzień kochance coś w rękę. Zwarła dłoń, przeczuwając, że tu chodzi o jakąś tajemnicę. Bystre jednakże oko kapitana Żuczkowskiego, dozorey więźniów, dostrzegło tę defraudację. Kłata odprowadzono, a potem dłoń dziewczęcia gwałtem rozwarła została i znaleziono kawałek płótna, a na nim słowa kopciem nakreślone: „Przestrzedz Kamieńskiego”. Córka i matka natychmiast uwięzione zostały i osadzone w ratuszu. I bez zwłoki zaraz kilku aresz-

towano Kamieńskich na chybił trafił. Jeden z tych nieszczęśliwych, urzędnik w magistracie, ojciec licznej rodziny, dostał w samotności cytadelowej pomieszania zmysłów i umarł tamże.

Panią Rogalewiczową wypuszczono po parotygodniowym więzieniu na usilne starania męża. Biedna Emilia pozostała jednakże w więzieniu i nie było podobna coś zrobić dla niej. Chorowała, trawiona cierpieniem moralnym, tęsknotą, zmartwieciem. Nikła z dnia na dzień... I wreszcie po roku blisko, wycieńzoną, słabiutką, umierającą na chorobę piersiową, odwieziono do rodziców, gdzie po dniach dziesięciu Bogu niewinnego oddała ducha.

Pogrzeb jej był nadzwyczaj liczny. Młodzież trumnę, okrytą wieńcami, kwiatami, na cmentarz powązkowski zaniósła, nie zważając na srogość policyi, powodowana współczuciem i współbólem dla żałobnych rodziców. Przy grobie zdzierano z trumny nie tylko kwiaty, ale aksamit i ozdoby na pamiątkę, jako relikwie po zmarłej męczennicy.

Nazajutrz rozpoczęło się śledztwo: kto byli przewodocy tej manifestacji gorszącej? Ale przewodocy nie było żadnych, bo wszyscy jednym tchnęli uczuciem i każde słowo byłoby zbytecznym.

W ciągu tego teroryzmu i nieszczęśliwy Karol Baliński został także aresztowanym w Lubelskiem i dostawiony do cytadeli warszawskiej.

W sobotę dozwalają nieszczęsnym więźniom przysyłać bieliznę, coś do zjedzenia, po śledztwie przeprowadzonym, cygara, a przez wielką łaskę

i książkę. Jeden z przyjaciół ś. p. Karola spełniał każdej soboty święcie ten obowiązek. Brał i od nas książki, oczywiście niewinne bardzo. A w jednej z nich nakreślił w nim biedny więzień smutną poezję: „Żywy trup”. Została zamieszczoną w „Dzwonie literackim”. Lecz przytoczę ją tutaj, jako mało rozpowszechnioną:

ŻYWY TRUP.

Pod miastem mogiła leży,
Przy niej smutnie rzeka bieży,
A w mogile cud prawdziwy —
Leży trup — a jednak żywy.

Cud niewielki, bo na świecie
Dużo tych cudów znajdziecie.

I trup patrzy przez mogiłę,
I pociechę w sereu budzi:
„Widzę ludzi, dużo ludzi,
I znajomych lica miłe.

Przyjaciele idą do mnie,
Każdy westehnie, każdy wspomnie”.

Ale ludzie przeszli drogą,
O trupie myśleć nie mogą.
Nienia czasu — żywot krótki,
Po co darmo tworzyć smutki, —

Kto żyje, niechaj używa,
Kto umarł, niechaj spoczywa.

Trup jęknął w chłodnej pościeli:
„Zapomnieli — zapomnieli”.
Aż ktoś idzie na ostatek,
Bładych lic, smętnego czoła —
Obejrzał się dookoła —
I nieznaicznie rzucił kwiatek,

Lecz ni chwili nie postoi —
Czy i on się trupa boi?...
A trup cicho szemrze w grobie:
„Dzięki bracie, dzięki Tobie!
Tylu przeszło — nikt nie wspomnie,
Tyś jeden przypominał o mnie”.

K.

Po kilku ciężkich miesiącach Karol Baliński wypuszczonym został — z nadwątlonem więcej jeszcze zdrowiem.

Raz ostatni był u nas w lecie r. 1847. Pożegnał się: do zobaczenia! — Ale dziwnie smutne czynił wrażenie. Potem napisał z Lubelskiego smętnie i tęskno, a wreszcie zagnalony okolicznościami emigrował do Galicyi — a z tamąd do Paryża, i nie widziałam go więcej.

Wyborny w tym czasie 1846 r. obiegał dowcip, a Warszawa jest dowcipną bardzo. Obywatel jeden miał proces w Senacie i przegrał go — jak utrzymywał, niesprawiedliwie. Składał zaś całą winę na to, że prezes i siedmiu senatorów — którzy wszyscy w podeszłym są wieku, drzemali ze znużenia przy przedstawieniu sprawy — a potem wyrok wydali niesłuszny.

Niezadługo potem, gdy ciż sami panowie zasiadali znowu, wniósł woźny list wielki, z adresem: Do rządzącego Senatu — i położył go przed prezesem.

— Co to? — zapytał tenże, złamał pieczętkę i list obejrzał. — To nie do mnie, tylko do którego z szanownych kolegów — i list podał najbliższemu. Ten spojrział i powtórzył także:

— Nie do mnie. Może do szanownego kolegi—podał list sąsiadowi.

— Z powinszowaniem imienin—przeczytał następujący—nie moje dziś święto, chyba szanownego kolegi?—zwrócił się do sąsiada.

— Bynajmniej.

— Woźny, a podajże kalendarz! — zagadał prezes — zobaczymy zaraz komu to powinszowanie służy.

Woźny podał kalendarz: był to dzień Siedmiu braci śpiących.

Państwo Dziekońscy mieszkali w Ustroniu o pół mili od Warszawy—za Grochowskiemi rogatkami. Byliśmy kilka razy u nich — a prawdziwe to było ustronie, spokojne, zaciszne, miłe — wśród równin zielonych a cichych.

Pan Tomasz Dziekoński, były dyrektor szkół i autor dzieł ważnych: „Życie Napoleona,” „Życie marszałków francuskich z czasów Napoleona,” „Obraz świata pod względem geografii, statystyki i historii wszystkich krajów,” „Historia Francji,” „Historia Anglii,” „Historia Hiszpanii,” i t. d., — mimo nauki i powagi nadzwyczajnie był przyjemnym w towarzystwie. Opowiadał wiele ciekawych rzeczy o życiu warszawskiem, dawniejszem — i o przeróżnych wypadkach. Słuchałam go zawsze z nadzwyczajnem zajęciem.

Pani Dziekońska miła, dobra — najpocziwszą była żoną i matką. Dziś już nie żyje.

Syn ich Antoni, sędzia kryminalny, wesoly, żywy, dowcipny.

Syn drugi, Bogdan, znany w świecie literackim z niepospolitych zdolności.

Do tego gronka łączyli się w ustroniu niekiedy i literaci warszawscy.

Tam poznałam doktora R. — który dziwne miał zdarzenie — mogące tylko w Warszawie mieć miejsce.

Otóż wieczorem dnia jednego zjawił się u niego komisarz policyi z żandarmem i oświadczył, że z nim natychmiast musi udać się w podróż — że ekstrapocztka już czeka przed domem.

— Dokądże mam jechać?—zapytał przerażony. Bo i któżby się nie przeraził.

— Dowiesz się pan. Nie mamy czasu do stracenia. Siadajmy! Rzeczy żadnych pan nie bierz z sobą.

Okrył się zatem tylko płaszczem, i wsiadł do powozu, w całą zbrojąc się odwagę. Ekstrapocztka pędziła przez Nowy-Świat—a więc nie wieziono go na Kameczatkę—na Sybir! Spojrzał ku niejednemu oknu, gdzie jego mieszkali znajomi i pożegnawcze przesłał im westchnienie.

Ekstrapocztka przez Jerozolimskie pogoniła rogatki... Dalej zmieniano konie — ciągle ku granicy pruskiej, bo nie było wtedy jeszcze kolei żelaznej w żadnym kierunku. Pędziła przez noc całą. Rano podano mu szklanę kawy. Dalej obiad... Lecz niczego od towarzyszków podróży dowiedzieć się nie mógł.

Wreszcie dnia trzeciego wieczorem w jakimś

dużem stanęli mieście—i wysiedli do pięknego hotelu. Weszli do pokoju. Doktor R. myślał, że teraz przynajmniej trochę wyprostuje członki i społecznie. Ale gdzież tam! Towarzyszący mu komisarz policji, zażądał, by z nim poszedł.

Wyszli zatem. Wprowadził go do przedpokoju, w którym była służba... rosyjska, otworzono drzwi i wepchnięto go do pięknego, jasnego pokoju.

W tym pokoju znajdował się generał rosyjski, zdawało się jemu, że Orłow.

— Pan napisałeś kilka listów do Petersburga, donosząc co dzieje się w Warszawie?—zagał do niego.—A potrzebuję wyjaśnienia bliższego.

— Nie pisałem żadnych listów, panie generale—zdobył się zdziwiony na odpowiedź.

— Mniejsza czy listy! Pan oskarżyłeś różne osoby postawione wysoko, donosiłeś o faktach...

— Nigdy, nigdy, panie generale! Nie napisałem i jednej takiej literki!

— Kłamiesz!

— Jestem człowiekiem honoru!

— Któż więc jesteś?

— Doktor medycyny R.

Generał zaklął.

— To jest podobne nazwisko!—zajrzał w papiery jakieś i zaklął znowu.

Komisarz policji pobladł.

— Ale któż jest ten R?... — generał wymówił podobne do doktora nazwisko, różniące się jednakże niektórymi głoskami.

— Nie wiem, nie znam — odrzekł doktor spokojnie.

Generał zaklął znowu. Zwrócił się do komisarza—skrzyczał go okrutnie—i rozkazał, by odjeżdżali natychmiast.

Komisarz błądy, skruszony, wyszedł z doktorem, który swobodniej odetchnął, i bez zwłoki jednej chwili ekstrapocztę sprowadzić kazał.

Doktor, zaledwo, że trochę pożywić się zdołał, i że się od kelnera dowiedział, iż byli w Wejmarze.

Rzecz wyjaśniła się następnie: był w Warszawie Żyd jakiś, szuja, który utrzymywał się ze szpiegostwa i denuncyacyi. Z początku przesyłał swoje donosy gubernatorowi Gorczakowowi na różne osoby, generałowi Storażenko, księciu Paskiewiczowi, a wreszcie i tychże dygnitarzy w obszernych opłach denuncyował w Petersburgu, licząc na lepsze nagrody.

Potrzeba zatem była zbadać go, i nadszedł rozkaz, ażeby go bez zwłoki do Wejmaru przystawiono. *Qui pro quo* powyższe sprawiła nieświadomość komisarza.

Było to w późnej jesieni, Bogdan Dziekoński raz w wieczór długo posiedział u nas. Mówił wiele — opowiadał poufnie niejedno z życia swojego — i widocznie dziwno a rzewnie był usposobionym.

W końcu powierzył nam, że gadaniny Miniżewskiego, podnoszące go na jakiś piedestał wysoki, dziwotworne i bujne, których i dzisiaj jeszcze

niepodobna powtórzyć, rozbiegły się różnie, a szkodliwie bardzo. Że pewien ktoś — nazwiska także niepodobna mi podać — występnie chciał z nich korzystać; zagroził Bogdanowi Dziekońskiemu denuncyacją wprost do namiestnika, jeżeli ma wielkiego nie złoży okupu.

Odpowiedział oczywiście, z najwyższą pogardą podlecowi, który z tak haniebnie niecnem wystąpił żądaniem... i denuncyacja napisaną została. Przeraziliśmy się tą wiadomością niemało, bo w Warszawie każda denuncyacja, choćby i na niczem oparta, smutne i groźne pociągała następstwa.

— Może zagroził tylko nizekzemnie, by wymódz zyski na panu? — wymówiłam, pocieszając się tą myślą.

— Być może... — odrzekł Dziekoński ponuro.

Mówiliśmy dużo o całej tej sprawie fatalnej, obracając ją na wsze strony, a potem pan Bogdan znowu inaczej skierował rozmowę. Zwrócił się do lat swoich uniwersyteckich — mówił o Dorpacie, o Królewcu — ożywiał się szczególnie, ale na dnie duszy smutna a tłumiona niekiedy zadźwięczała struna.

Uderzyła godzina pierwsza z północy — porwał się na równe nogi, a chmura nagle przysłoniła twarz jego.

— Dobra noc! — wymówił. — Do zobaczenia! — dodał ciszej.

— Przecież będziesz nocował? — zagadał August.

— Pójdę do Ustronia.

— Jakto! w nocy i pieszo?

— Co to szkodzi!

— Ale bój się Boga, człowieku! Masz tutaj pokój, masz łóżko. Po cóż się narażać i guza dobrowolnie szukać?

— Znam drogę dobrze i stanę szczęśliwie. Upiory napastować mnie nie będą — uśmiechnął się smętnie. — Lubię chodzić po nocy. Wiesz przecie, że mi właśnie teraz moja wada organiczna serca sypiać nie pozwala. Zatem lepiej, że się przejdę. Ot, mam przy sobie i *lauro cerosis*.

— Dziwak z ciebie. Nocuj, zaklinam cię.

— Nie mogę!... Do widzenia!... Do zobaczenia!...

Uściskał Augusta — pożegnał mnie — i szybko wybiegł.

August poszedł za nim ze świecą i drzwi sienne otworzył.

— Do zobaczenia! — powtórzył raz jeszcze, nie obejrzwawszy się wcale i w pustej zniknął ulicy.

— Coś jest Bogdanowi — wymówił mąż do mnie, wróciwszy. — Miewa on wprawdzie nieraz takie przejścia niepokoju i tęsknoty, ale dzisiaj był żalonym szczególnie.

— Oby tylko ta denuncyacja nie przyniosła nieszczęścia!

— Straszy zapewne tylko ten podlec! Bo i cóżby mu przyszło z tak haniebnie fałszywej denuncyacji?

Nazajutrz Bogdan Dziekoński z Ustronia nie wrócił, a nie chodził tam wcale. I tej samej nocy, wprost od nas — kraj gorąco ukochany pożegnał na zawsze.

Z nim pospołu wyjechało jeszcze kilku znajomych—których ta gadanina szkodliwa skompromitowała także, a denuncyacya objęła.

W tydzień potem zjawił się u nas major od żandarmów Wrześniewski — używany przy aresztowaniach, rewizjach i śledztwach. Byłam tylko sama, przeraziłam się niemało — alem nadrobiła miną.

Badał mnie — grzecznie — o wyjazd Bogdana Dziekońskiego za granicę. Naturalnie, żem o niczem zgoła nie wiedziała.

— A z kimże on tu przestawał w Warszawie? Wymieniłam kilku szpiegów wyższego rzędu. Inkwizytor uśmiechnął się.

— A czy oni będą o nim wiedzieli?

— Myślę.

— Ale przecież u państwa musiał się wywnętrzać.

— Był skrytym zawsze i uważaliśmy, że cierpi na spleen...

W tej chwili nadszedł mąż mój z miasta.

— Nieprawdaż—zagadałam zaraz do niego— Bogdan Dziekoński żył wiele z panami... — wymieniłam powyższe nazwiska — i że cierpiał na spleen.

Major chciał mi przerwać, alem dokończyła. A August zrozumiał o co chodzi. Powtórzył zatem, mniejwięcej, com powiedziała. Inkwizytor się skłonił—i wyszedł.

W kilka tygodni później napisał do nas Bogdan Dziekoński z Paryża:

„Czyniłem ścisłą tajemnicę z nieszczęśliwej

emigracyi mojej, ażeby świadomością tejże nie skompromitować nikogo. Rodzice moi nie spodziewali się nigdy, że mnie już nie zobaczą. Nawet i jednej nie prześle im literki, by najdroższemu nie zaszkodzić ojeu. Niechaj ich Bóg dobry pocieszy!“

Bogdan Dziekoński cierpiał rzeczywiście na serce, a w ostatnich tygodniach leczył się nawet. Znać biedny wewnętrzną staczał walkę. Kochał nadzwyczajnie rodziców i brata—a urodził się z uczuciem tęsknoty.

Będąc w Dorpacie, napadnięty nieraz tym bólem, porzucił nagle wszystko i pośpieszył do rodziców, choćby na dni kilka.

Na uniwersytecie żył nadzwyczaj skromnie, odmawiał sobie wszystkiego, a dzielił się z potrzebującymi dochodem, jaki miewał od ojca.

Raz wygrał na loteryi paręset talarów, i wszystko rozdał ubogim.

Był aresztowany, za jakies posądzenia, czas jakiś. A potem... smutny nadzwyczaj wypadek, zaszyły w jego uniwersyteckiem, koleżeńskiem życiu—całą zmacił mu przyszłość. I gdy to ukluło, zakrwawiło go wspomnienie, cierpiał głęboko, dotkliwie, uciekał od ludzi, i całkiem dla znajomych na dni kilka zniknął. Mówiono że w samotności szukał odurzenia myśli i pamięci.

Była to piękna dusza, szlachetne serce z wielkiem sprawiedliwosciem i poczuciem. A Polskę po nad wszystko kochał.

Skończył kurs medyczny, ale nie doktoryzował się, i praktyce nie oddawał się nigdy. Powró-

cił do Ustronia, i wiele nad nauką chemii pracował. Te studia zaprowadziły go do alchemii, i ztąd zrodził się Sędziwoj.

Pisywał do pism różnych. W „Bibliotece Warszawskiej” było kilka jego powieści, z których „Siła woli” jest najznakomitszą. Recenzje jego gruntowne, na poczuciu estetycznym oparte, do najlepszych należały w Warszawie. Rysował dobrze i twórcze miewał pomysły.

Nieraz, i w Ustroniu, gnany jakąś tęsknotą, nie mówiąc nic nikomu, bez zasobu nawet, na który nie zważał, wybrał się na pielgrzymkę po kraju. Różne zwiedzał strony, ażeby lud poznać. Po kościolkach wiejskich stroił organy. Po karczmach obrazy Świętych malował i rozdawał chłopom. Proboszczom zegary naprawiał.

W Warszawie starał się poznać wszelkie warstwy, aż do najniższej... najohydniejszej, i marzył o jej umoralnieniu. Dowiedział się o jakiejś podziemnej szynkowni na Starem Mieście, w której schodzili się złodzieje, i w przebraniu, w odzieniu poszarpanem dostał się do niej, ażeby wszystkiemu przypatrzeć się zbliska. Gdyby go byli poznali, już i pewno ztamtąd nie byłby wyszedł. Abnegacya jego wielką była pod każdym względem.

Znał niektóre ważne figury, należące do polityki tajnej. Dowiedział się o tajemnicy niejednej, i miał zamiar napisania Tajemnic Warszawy. Jakazby to ważna była książka!

O Towiańskim opowiadał anegdotki i karykatury rysował. A w Paryżu poznawszy go... marzyciel tęskny, z usposobieniem skłonem do misty-

zmu, całą do niego przyłgnął duszą i stał się jednym z najgorętszych jego adherentów.

Później, w dalszym ciągu „Moich Wspomnień” jeszcze o nim pomówię, zajmujące posiadając listy jego—i o nim.

Wiadomo, że w Warszawie przy lada sposobności bywają nakazywane iluminacye pod karą pięciu rubli od okna. Co Niemcy cywilizowani, zwiedzający Warszawę, barbaryzmem azjatyckiem być mienia. Otóż dnia jednego przejeżdżał podobno ówczesny Następca Tronu za granicę i zatrzymał się w stolicy Polski. Zaraz więc rychło nakazaną została iluminacya, jak zwykle. Później spostrzegli się, że to był dzień 29 listopada, i nuż rańszy odwoływać nakaz, z dodatkiem: Nie iluminować pod karą pięciu rubli. Policya jednakże nie podolała w oddalonej części miasta pierwszego odwołać rozkazu, więc uiluminowano na niektórych ulicach w rocznicę listopadowego powstania..

Rodzina Kraszewskich miała sprawę w senacie. Zjechał zatem do Warszawy pan Jan Kraszewski z synem Kajetanem. Mąż mój szanownego ojca pana Józefa Ignacego wysoko poważał i pokochał. Był to nadzwyczaj przyjemny, wyższego rzędu szlachcic-obywatel, pełen życia, uprzejmości, rozumny i umysłowy. Bywał częstym u nas gościem, bo i August nachodził go często. Pan Kajetan we wie- lu bywał domach i ceniono jego talent muzyczny.

Później przybył i pan Józef Ignacy. A powiedziałam już, mówiąc o wieczorach wojewodziny Narkwaskiej, że Warszawa rwała się do niego, że go wrywano sobie, bo i nie mógł wszystkim zaprosinom podolać. Obiady, wieczory gonily jedne po drugich. To proszono, by oblubienicę do ślubnego powiódł ołtarza, to znowu, ażeby chrzestnym był ojcem. I tak istny wiązał się łańcuch. Wyjechał po dniach kilkunastu pobytu. Pan Jan i pan Kajetan pozostali dłużej. Potem miał August listów parę od pana Jana. Z jednego, z dnia 6-go stycznia 1847 r. pisany z Romanowa, pozwolę sobie ustęp przytoczyć:

„...Są ludzie, którzy utrzymują, że na świecie niema przyjaźni, że wszyscy w ogólności gramy sobie komedję. Ja o tem w życiu mojem pojęcia nie miałem, kogo kocham, to mu i mówię, i dowodzę. Od kogo mnie serce odpycha, uciekam i udawać nie umiem. Ale nie wszyscyśmy dziatki jednej matki. Czy uwierzysz Pan temu, że w mieszkaniu jednego bardzo rozumnego człowieka, nadedrzwiemi znalazłem napis łaciński, następujący: *bene qui latuit, bene vixit*. Wytlómaczyliśmy to na polskie: „Kto dobrze ludzi okpiwał, ten dobrze świata używał”. Smutno nam się zrobiło, wychodząc z mieszkania, gdzie dusza gospodarza w przyjętem godle tak silnie nas uderzyła. Ale niedługo pod smutnem wrażeniem zostawać przyszło. Pan Bóg nas przeprowadził do miejsca, gdzie drugi napis zatarł wrażenie przykre. Napis ten był następujący: „Czemuż dom mój nie jest szklany?” Poczeiwy, najpoczeiwszy człowiek chciałby, żeby każdą chwilę

życia jego świat cały widział i sądził. Z dwóch tych indywiduów pierwszy półwieczny zaproszony już został na bal do Lucypera. Drugi ósmy krzyż życia kończąc, czerstwy, z jasnym czołem i swobodną duszą ogląda jeszcze światło słoneczne, szczęśliwy, o ile ludziom wolno się szczęśliwości kwalifikować, spokojnie czeka chwili, w której szlachetna dusza jego powołaną zostanie do przybytku wieczności. Pożalujesz mnie, Panie, kiedy ci powiem, że żyłem z człowiekiem pod godłem łacińskim; zem go miał za przyjaciela, za poczeiwego, i że nakoniec zostałem jedną z jego ofiar. Pomimo to doświadczenie kocham świat, kocham ludzi, do których mnie sympatya prowadzi i wołałbym nie żyć, niżeli mizantropem zostać. Powtarzam więc, szanowny Panie, że się umizgam do Twojej przyjaźni i dobrego serca, i że dlatego Ci wypisałem dwa godła, łacińskie i polskie, że się one ku dobru powszechnemu odezwać mogą w „Ramotkach”, albo w „Dzwonie”.

Powróciwszy z Warszawy do Romanowa i wyśpawszy się w wiejskiej zaciszy, obudziłem się przybyciem mojego Józefa, z którym święta i Nowy Rok zaczęliśmy w towarzystwie domowem, matki, żony, córki. Przybyli nam także z Warszawy Walentowie Szwejkowscy i drugi syn mój, Lucyan. Dni przeszły jak godziny. Zapłakałem, żegnając mojego Józefa, z którym może przyjdzie dopiero w lat parę zobaczyć się. Ruszył on na przeklęte kontrakty dubieńskie, od których wyłamać się nie mógł, i zostawił mi tylko miłe wspomnienie Warszawy i wszystkich, którzy raczyli łaską swoją zaszczyścić

syna mojego. Póki mnie jeszcze proces klóci, nie-raz może odwiedzę Warszawę, ale jak się ten skończy, w szarej kapocie i szlafmycy, siedząc przy skromnym moim kominku, słodko będę rozpamiętywał grudzień 1846 r., i odmawiając paciorki westchnę do Boga za tych, którzy do serca przytulili mojego pierworodnego.

...Blizką mam ekspektatywę zamieszkania znowu na starym moim mieszkaniu przy ulicy Bielańskiej. Pierwsza wizyta będzie przez drzwi, na których karta Redakcyę „Dzwonu” obwieszcza...

...Nie spodziewam się przegranej, bo mam gruntowne przekonanie w poczciwość i prawość sędziów, i ufam zacnej a mądrej głowie obrońcy naszego, mecenasa Majewskiego. Nim przyjadę racz tam, Panie, czuwać, aby mnie * nie zjadł. *Les absents ont tort* niesie stare przysłowie prawdziwe...”

Gdy ukazał się „Jordan”, fantazyja dramatyczna przez Antoniego Sowę (Edward Żeligowski), niezmiernie pomiędzy młodzieżą sprawił wrażenie. Nie poezją prawdziwego namaszczenia, jak wyrzekli powołani, nie artyzmem wykończonym, nie fantazyją porywającą, ale gorzką prawdą, wypowiedzianą silnie z odwagą, z werwą niezrównaną. Uczono się długich ustępów na pamięć i wygłaszano je przy każdej sposobności, niemal w zebraniu każdym. Mąż mój uniesiony tym utworem, który tak całkiem do niego przemawiał, napisał o nim do „Dzwonu Literackiego” i obszerny zamieścił ustęp. Wskutek tego zawiązała się korespondencya z au-

torem serdeczna, bo Żeligowski sercowy był człowiek.

A mnie nader wdzięczny dostał się podarek, który dziś, po przedwczesnym zgonie poety, tem większej nabył wartości.

Do

Pauliny Wilkońskiej.

Nieznajoma a znana!... nim Twój nieznajomy
Zdoła Twoje szlachetne ucłować ręce,
Co wplotły w piękny byt Twój—bluszez i myrtu wieńce,
Darząc jednym Twych ziomków—drugim żywot stromy,
Słodzisz Męża-Człowieka!—O przyjmj pozdrowienie!
A gdy chwila szezęśliwa spełni moje chęci —
Złoży Ci u stóp Twoich cześć i uwielbienie,
Nieznajomy, co Tobie dziś to słowo święcił!

Maryampol 28 marca 1847.

Antoni Sowa.

W kwietniu 1847 r. zajęliśmy mieszkanie przy ulicy Senatorskiej, wprost filarów teatralnych i przemieszkaliśmy już tam następne lata, aż do wyjazdu naszego.

W lecie przybył pan Jan Dobrzański, dzisiejszy redaktor „Gazety Narodowej” do Warszawy. Przywiózł nam list od Józefa Dzierzkowskiego. Zabawił parę tygodni i codziennym u nas, przyjemnym był gościem. Mąż mój obwoził, oprowadzał go wszędzie. Zwiedziliśmy pospołu i kościołek na Woli, gdzie bohaterski poległ Sowiński. Znaczy go mnóstwo dużych i mniejszych kul armatnich, a dziwna, bardzo dziwna, że mury od nich nie popękały. Przy nim założono cmentarz prawosławny, jak wszędzie kwadratami na różne podzielony klasy.

Pan Dobrzański jedynie w literackich był kołach, które go bardzo mile witały. A opowiadał nam wiele i bardzo zajmująco o ciekawych wypadkach 1846 r.

Na jednym z wieczorków u nas czytał uzdolniony poeta, Wacław Szymanowski, piękny swój poemat, „Kolumb”, który w Warszawie drukowanym być nie mógł.

Dalej dramat, „Tenczyńscy”, z wielką napisany werwą. Ale, że tam występuje dziś błogosławiony Bobola, więc zniszczył go zapewne po kanonizacyi tegoż świętego.

Wieczór poniedziałkowy u pani Niny Łuszczewskiej opisał pan Dobrzański nader zajmująco w „Dzienniku literackim”, wspominając przyjaźnie o autorze „Ramotek”, który go tam wprowadził.

A mnie zostawił przedmiot do powieści, z którego korzystałam i osnułam na nim moją „Wawrzynę”.

Gdy następnie opuszczał Warszawę, a jechał na Lublin, towarzyszył mu August, chcąc z nim prodrodze do brata swojego, Klemensa, w Górnicy pod Garwolinem wstąpić. Przyjeżdżają na rogatkę. Jeden pokazuje swój paszport, a drugi kartę legitymacyjną.

— Jest rozkaz, ażeby pana z Warszawy nie wypuszczać—oznajmiono mężowi mojemu.

— Zkądżeż ten rozkaz? Dlaczego? — zapytał zdziwiony.

— Nie nie wiemy. Ale pan musisz do miasta wrócić.

Więc pożegnał pana Dobrzańskiego—i zły powrócił.

Taka przyjemność spotykała wiele osób, pomiędzy temi i lekarzy, do chorych na wieś wezwanych. A niezadługo potem rozpoczęło się śledztwo w ratuszu, które kilka miesięcy potrwało, zanim kilkadziesiąt przesłuchano osób. Na stole leżały akta denuncyacyjne, z podpisem znanego w Warszawie człowieka, który od niedawna był na wychodźstwie. A może być, i jest to przypuszczalnem bardzo, że chciano tylko na niego podejrzenie zważyć, bo wszakżeż tak dzieje się często. Obok leżała długa lista oskarżonych.

Kilka osób w tej sprawie aresztowanych zaraz z góry dostało się w objęcie cytadeli, jakoby w śmiertelny uścisk „Dorotki”. Pomiędzy temi i znany w Warszawie Antoni Winiarski, człowiek podobno niezłomnego hartu i ducha nieugiętego, i tamże, w cytadeli, po dwu latach więzienia umarł.

Bywał u nas bardzo młody poeta, Teodozy Krzywicki. Jeden z braci jego umarł w cytadeli, drugi na Syberyi. Nie była to zdolność wybitna, lecz miał zapalę dużo, a grzeszył niekiedy naśladownictwem, mimo woli i wiedzy. Karol Baliński uznał w nim zdolność i lubił go dla zacności jego i prawości duszy. U nas schodzili się często i pan Karol wiele czynił mu uwag. W czwartym tomie „Dzwonu literackiego” jest umieszczona jego dość obszerna poezya: „Dumanie przy fajce”, obrazy fantastyczne, ładne a smętne to obrazki.

Dnia jednego zniknął z pośród nas... Pochłonięła go także Cytadela! — I tam biedny młode zakończył życie. A jak? — Któż to wie!

Krótko przed uwięzieniem napisał mi, jakoby w proroczym duchu:

Na męczenników, na braci grobie
Ostatnią piosnkę nuciłem.
Dziś jakąż piosnkę ułożę Tobie,
Kiedy już lutnię rozbiłem?
Siostrze! dziś smutno, po co nam nucić?
Już pieśni szczęścia przebrzmiały,
Ale, by w sercu zapal ocnąć,
Wspomnienia nasze zostały.
Takie wspomnienia naksztalt trucizny,
Siostrze, niech w serce Twe płyną —
Gdzie rozbudzona miłość Ojczyzny —
Tam pewno, pewno nie zgina!

Na męczenników grobie posiejesz
Kwiaty niezwiędłe do wieńca,
I łzę współczucia może wylejesz
Nad marzeniami szaleńca.
O! bo ja marzę, że to przekleństwo,
Które dziś ciąży nad nami,
Przez łzy i trudy, i przez męczeństwo,
Własnymi zniszczym siłami.

Myśmy powinni we krwi i pocie
Rozsiewać ziarno miłości,
Budzić nadzieję, zapal ku enocie —
Najświętszą miłość ludzkości.
Nam krwawa droga jest przeznaczona.

Droga Golgoty i krzyża!
Może niejeden w pół drogi skona,
Ale dzień szczęścia się zbliża! —
O! Siostrze, nieraz we śnie marzenia
Jakiś tu anioł przypływa —
I takie święte budzi natchnienia,
Tak cudną piosnkę mi śpiewa:
Że dzień zbawienia już niedaleki —
Że zmartwychwstaniem na nowo!

W ogrodzie wód mineralnych Dekera, poznałam tegoż lata pannę Paulinę Zbyszewską — mój już znał ją dawniej. Pociąga mnie zawsze inteligencya każda, zwłaszcza też staje się dla mnie pociechą prawdziwą, gdy kobietę wyższa umysłowość odznacza. Panna Zbyszewska należy do najrozumniejszych u nas kobiet: przyrodzenie obdarzyło ją wielkim zasobem zdolności, a korzystała z nich, zapuszczając się w szersze koła naukowe zwykle nieprzystępne niewiastom, zatem przyjemnie mi ją było poznać. Rysy regularne, wyraz powagi, postawa nie wysoka lecz dość dobrej tuszy, nadają jej coś imponującego, z czem jej do twarzy weale

W jesieni zjechał do Warszawy August Bielowski ze Lwowa, znakomity autor, poeta, tłumacz „Fausta”, „Don Karłosa”, „Pieśni serbskich” i jeden z pierwszych naszych dziejopisarzy.

Nie bawił długo. A czas ten zapelnily obiady, wieczory dla niego dawane. Powazny a skromny, względny, uprzejmy, pozyskal sobie szacunek przychylnosc wszystkich.

Mieszkający w Warszawie hr. Ossoliński—dziś już nie żyje—posłyszawszy o przybyciu pana Augusta Bielowskiego, prosił mojego męża, by z nim do niego przyjechał. Pojechali zatem, bo hrabia gdzieś tam w Alejach mieszkał. Powitał uprzejmie uczzonego literata, a głównie chodziło mu o to: Czy Ossolińscy, którzy założyli bibliotekę tegoż imienia, jednym z nim pieczętowali się herbem!

Mnie pan August Bielowski wielce miłą do mojego albumu udarował pamiątką:

Błogo jest w Wasze zagościwszy ściany
 Odbierać dowód uprzejmości znanej,
 I myśl i serce od doli zawistnej
 Skryć w ten umniczy świat: gdzie jak stulistnej
 Róży pod naszą dłonią się co chwila,
 Przeszłość nowemi wdziękami przymila.
 I czuć jak oto od każdego listka
 Z nową świeżością zawiewa woń wszystka,
 Tych dni szczęśliwych, gdy nad naszą łąką
 Ojczystych swobód przyświecało słońko,
 I swym promieniem przelewało w naród
 Bujniejsze życie i enót wielkich zaród,
 Które się w koło rozplenili żyźnie,
 Niosąc hołd wzniosły Bogu i Ojczyźnie.
 I tak się długo temi widokami
 Poić, aż zniknie obecność przed nami,
 Jak smug eieniuchny wśród słońca światłości —
 A cała przeszłość wpłynie do przyszłości:
 Więc w takim uczuć i myśli popędzie,
 Czuć to, co było, a żyć w tem, co będzie.

August Bielowski

Do redakcji „Dzwonu literackiego“ nadszedł z Petersburga list, na początku 1848 roku z ręko-

pisem, poemat dość obszerny, „Mąż i żona“—czyli „Małżeństwo“ — tłumaczenie z rosyjskiego bardzo nieudatne. Był to ów sławny poemat księżnej T. w którym wystawiła cesarza jako „małżonka-tyrana“, a nieszczęśliwą Polskę jako żonę enotliwą, poniewieraną i męczoną strasznie. Wiadomo, że w Petersburgu utwór ten wielkiego narobił hałasu. Nie dowierzano zatem, czy do Dzwonu nadesłany był w dobrej wierze, czyli też przez zdradę. Że zaś i przekład nie zalecał się niczem, więc i bez wahania spalonym został.

Drugi rękopis nadszedł z Kijowa, powieść: „Było to na Ukrainie“ przez Maryę..., pierwszych rozdziałów kilka. Rzecz zajmująca i ciekawa, — a zdaje się, że na rzeczywistem oparta zdarzeniu. Ciąg dalszy nie nadszedł.—Zaciekawiona śledziłam później nieraz ukazujące się w piśmiennictwie naszym powieści, licząc, że gdzie zdybię całość: „Było to na Ukrainie“. Lecz napróżno!—A to, co przeczytałam, w żywej pozostało pamięci.

Na lat kilka pierwej budził w świecie literackim „Sen w Podhorcach“ dużo zajęcia. Odgadywano w nim znane osobistości — a znane i z pięknej i szlachetnej strony. Trudne przejścia i walkę ich życia. — Może „Było to na Ukrainie“ podobnie smutne przedstawić miało życie. Początek powieści to zapowiadał.

Dni lutowe a następnie marcowe roku 1848 rozbudziły nadzieje, które spełzły na niczem—o któ-

rych spełnieniu w naszym stuleciu zapewne już i mo-
wy nie będzie.

W tym czasie napisał do nas Aleksander Mi-
niszewski z Wrocławia list sążnisty, który byłby
łatwo mógł skompromitować. Opisywał walki uli-
czne, podając: że go Niemcy, jako wysokiego i bar-
czystego chłopca, za barykadę użyli. Wymieniał róż-
nych wychodźców — i co kto mówił i czynił. —
Oczywiście, żeśmy list ten spalili zaraz. Było tam
i humoru dużo — a między innymi donosił, że robi
postępy w języku niemieckim i ducha tegoż pojmo-
wać zaczyna. — „Wiem n. p. — wyraził się — że trze-
wik nazywa się „Schuh,” ręka „Hand”, a rękawicz-
ka już składa się z dwóch wyrazów: „Hand-Schuh”.
Gdy mi więc będzie kapelusza potrzeba, zażądam
„Einen Kopf-Schuh”.

Rok 1849 był tylko wiernym następcą poprze-
dnika swojego.

Mąż mój siedział w Cytadeli prawie rok cały...
Ale o tej sprawie — o uwięzieniu go i przejściach róż-
nych — o Zamościu — w innym miejscu będę mówiła,
ażeby nie przerywać toku opowiadania „O towa-
rzyskiem życiu w Warszawie”. Ile, że to zupełnie
oddzielny stanowi epizod.

W dzień św. Stanisława wydarzył się tegoż
roku bardzo smutny wypadek, w kościele św. Jana.
Jak wiadomo, stoi tam pomnik Stanisława Małacho-
wskiego, — wielkiego męża i jednego z pierwszych
Polaków.

Józef Zóchowski — profesor fizyki — człowiek
niepospolitej nauki, ale zmysłów zmaconych — stanął
nagle w czasie mszy świętej na podnóżu pomnika

i krzyknął na całe gardło: „Do broni bracia! Do
broni!”

Policya — której nie brak nigdzie — ściągnęła go
zaraz, zawiozła na ratusz i włożyła mu kajdanki. —
Lekarze uznali, że nieszczęśliwy ma zupełnie pomię-
szane zmysły. Mimo to został skazany i wywieziony
do Bobrujska — gdzie po latach niewiele bolesnego
dokonał życia.

W roku tym, aż nadto pamiętnym, popadł wre-
szcie i w nielaskę generał Storożenko, który przez
długie lata kamieniem ciążył na Warszawie. Był
nasamprzód oberpolicmajstrem, prezydował w ko-
misyi śledezej — miał biuro policyi tajnej — a potem
został naczelnikiem komisji spraw wewnętrznych. —
Gdy objął zarząd oberpolicmajstra, obiegało czyjeś
dowcipne wyrażenie: „Za jednego Różnieckiego, bę-
dzim mieli sto rożenków.”

Istniała podobno także ilustracya — wyobrażają-
ca plac Zygmuntowski z Nowym-Zjazdem do Wisły
— na którym stała znana postać generała Storożen-
ki. — Pod obrazkiem położono podpis: Widok (Vidok)
Warszawy.

Panna S. — Wołynianka — zdolna guwernantka
— dawała lekye w domu ros. generała S. i zapro-
ponowano jej tamże, by napisała historię Rosyi po
francusku dla dzieci, przystępnie, treściwie, w za-
pytaniach i odpowiedziach. Generał nawet oświad-
czył, że na kosztą drukułożyć będzie. Pomysł ten
przystał do panny S. odrazu, bo i nastęrczyła się
myśl, że w ten sposób będzie mogła i historię pol-

ską ułożyć. Zatem napisała historią Rosyi—w pytaniach i odpowiedziach jak tego żądano — po francusku i po polsku: z jednej strony miała być wydrukowaną w pierwszym języku, a z drugiego w drugim. Pracę swoją zaniósła W. A. Maciejowskiemu, jako najkompetentniejszemu do osądzenia, a gdy tenże uznał ją za dobrą i pochwalił, przyniosła mi polski rękopis, bym go pod względem językowym przejrzała. Francuski zaś oddała panu * * *, Francuzowi i nauczycielowi tegoż języka.—Gdy przyszły sprawozdania o bojach Rosyi z Polską itp. nastroczyła mi się uwaga, czytając—że to nie spodoba się pewnie... i mówiłam jej o tem.

— Ale przecież to wszystko jest prawdą—odrzekła i pan Maciejowski to uznał.

— Tem lepiej. I szczęść Boże!—uścisnęłam jej rękę.

Tymczasem dnia jednego pan Pawliszczew, radea stanu, senator, cenzor naczelny, główny redaktor prasy rządowej, przyszedł do pana * * *, zobaczył ów rękopis francuski Histoire de la Russie, historię bez jego wiedzy napisaną w Warszawie!!! i skonfiskował nieszczęsny manuskrypt. Nazajutrz odebrała panna S. wezwanie, by stawiała się bez zwłoki u pana Pawliszczewa, i poszła, oczywiście ze strachem niemalym. Pawliszczewa nie zastała, tylko żonę jego. Panna S. zagadła do niej po polsku. Pani Pawliszczew odpowiedziała po rosyjsku. Poczem panna S. po francusku mówiła, że przybyła na wezwanie pana senatora itd.

— Więc pani po rosyjsku nie mówisz?—zapytała pani Pawliszczew z cierpkim wyrazem.

— Zapomniałam...

— Gdzieżeś pani do szkoły chodziła?

— Byłam w Krzemieńcu na pensyi.

— I tam panią języka rosyjskiego nie nauczyli dostatecznie?

— Owszem... nauczyłam się, alem zapomniała później, nie mając go w używaniu.

— To i gdzieżeś pani przebywała, żeś zapomnieć mogła?

— Byłam nauczycielką w domach obywatelskich...

— Gdzie?

— Na Wołyniu.

— Jakto! I w tamtych domach obywatelskich po rosyjsku nie mówią?

— Dla nauki dzieci mówi się zwykle po francusku—odpowiedziała zalekniiona guwernantka.

— Muszę ja pomówić, żeby tam został zaprowadzony porządek w domach obywatelskich co do języka rosyjskiego.

Panna S. struchlała.

Wtem pani domu popieściła pieska faworyta i przemówiła do niego słów parę polskich.

— Pani mówisz po polsku—zagadła strwożona panna S.

— To do psów tylko!

A potrzeba dodać, że pani Pawliszczew jest siostrą wielkiego poety Puszkina.

Po chwili nadszedł pan senator i wezwał pannę S. do siebie. Pokazał jej rękopis i zapytał z oburzeniem: „Jak mogła popełnić takie zuchwalstwo i coś podobnego napisać.”—Nie dał jej przyjść do

słowa. Biedna zbladła, zamilkła, a pan Pawliszczew krzyczał, łajał... co się tylko zmieściło. Panna S. nawpół martwa do mnie wstąpiła — i odchorowała to zajęcie.

Za powrotem naszym z Zamościa, w grudniu 1850 roku, zostaliśmy w Warszawie serdecznie, jak najserdeczniej witani, że i drzwi prawie nie zamykały się u nas.

Zastaliśmy także osiedlonego w Warszawie hrabiego Henryka Rzewuskiego i Romualda Podbereskiego, który nam przywiózł listy od Edwarda Żeligowskiego z Wilna. A opowiadał wiele, bardzo wiele o Syrokomli, o Gryfie (Antonim Jaksie Marcinkowskim), o Dołędze (Jurkiewiezu), i o „Gwiazdzie kijowskiej.“

Przybył w myśli wydawania w Warszawie dalej „Pamiętnika naukowo-literackiego.“ Miał chęci wiele i zamiary pocziwe, które jednakże speliły na niczem! Prowadził właśnie proces z rządem o tytuł księcia, jako Drucki-Podbereski, a zarazem i o parę milionów rubli.

Odwiedził nas niebawem i znakomity autor „Soplicy“ i dość częstym u nas bywał gościem, mianowicie też wieczorami, gdy widział, że świeci się u nas—nieraz i po dziesiątej wstąpił, wracając z zamku. Bo gdyśmy wieczorem byli w domu, to i zawsze kilka znalazło się osób. Przychodzili dobrzy znajomi niekiedy z innych wychodząc już zebrań — i rażna gawędka przez parę ciągnęła się godzin.

Tej właśnie zimy dużo rodzin obywatelskich zamieszkało w Warszawie, z Wołynia, Litwy, Podola, Ukrainy, że ktoś ten wielki napływ żartobliwie nazwał *l'invasion des barbares*. Wchodzili chętnie w towarzyskie koła stolicy i dodawali im ruchu i życia.

Urządzony np. koncert w sali reductowej, tak liczną ściągnął publiczność, że wszyscy pomieścić się nie mogli. Natłok był nie do opisania—ścisk, że i ruszyć się było niepodobna. Upał nieznośny, bo para unosila się i gęstemi kroplami osiadała na ścianach. Wyniesiono parę osób zemdlonych do przyległej sali, nieopalonej, a mróz był duży, i jedna panienka ztąd zapalenia płuc dostała.

A jacyż to wirtuozi ten koncert składali? Otóż Apolinary Kątski, Schulhof, Kellerman, basetlista, panna Holossy śpiewaczka, Dobrski, Troszel, Ignacy Komorowski i t. d.

Wśród tego życia rozbudzonego, nader przykro całą dotknęło powszechność aresztowanie i osadzenie w cytadeli Romualda Podbereskiego. Udawano się także do Henryka Rzewuskiego, by wstawił się za nim, ale wszystko napróżno.

Przebywał on wiele u autora „Listopada,“ który przyjmował go uprzejmie, ale po za nim różne sobie z niego stroił dowcipki, i różne o nim puszczał koncepta, którym humoru niemożna było odmówić. A co miał rzeczywiście pod tym względem na celu? Niewiadomo.

Podbereski mówił dużo o dążności w piśmieniczym zawodzie: że tylko w sferach wykształconych umysłowo wyżej, sztuka dla sztuki wpływa

na podniesienie ducha. Inne zaś warstwy jedynie tendencya wybitna: przykłady i wzory umoralnić, pouczyć i oświecić potrafią. Otóż tego zdania uchwycił się Rzewuski głównie i obrabiał je różnie, między innymi puścił i tę gadkę w obieg:

— Ten poczciwy Podbereski żyje tylko dla dążności i dążnością oddycha. Wczoraj przyszedł do mnie. Na stole leżał Horacy.

— Co to jest?—zapytał.

— Dzieła Horacego—odrzekłem.

— Dobrze pisał—wymówił—piękny talent, ale Horacy nie miał dążności.

Rzewuski bywał wszędzie, wszędzie miał głos, słuchano go chętnie i skrzętnie jego powtarzano dowcipy, więc też i ten koncept bawił i stał się głośnym.

Na poniedziałkowych wieczorach nie chybił nigdy, które tej zimy zwłaszcza bywały nader liczne i świetne.

U nas liczniej zbierano się znowu we wtorki, przypominające dawniejsze zebrania dzwonowe; i Rzewuski bywał zawsze.

Mówiono mu wszystko, z otwartością całą, i czyniono mu zarzuty co do przypisków przy „Listopadzie.“ Bronił się, jak mógł, ale słuchał spokojnie każdego zarzutu.

— Bo i jakież to np. fałszywe twierdzenie, panie hrabio — zagadał któryś z młodych — że to wielkie zbudzenie się ducha umysłowego u nas ma być dowodem, żeśmy jako naród istnieć przestali.

— Ależ tak jest, bo naród żyjący duchem, zamiera ciałem...

Zrobiła się wrzawa. Jeden dowodził, że za Elżbiety, kiedy Anglia poczęła się silniej rozwijać jako państwo w kraju i na zewnątrz, właśnie zajął się Shakespear, Bakon, Raleigh i inni. Drugi: że za Ludwika XIV Francya była potężną, a posiadała pierwszorzędnego swojego czasu talenta i t. d. i t. d. Aż wreszcie i sam przytakiwać zaczął.

Cytowano mu przeróżne ustępy z pism zagranicznych, i deklamowano, jak np. „Pieśń żniwiarzy“ Karola Balińskiego. A podobało mu się wszystko. Wpadł w dobry humor. Sam nieraz coś pięknego z dawniejszych wygłosił czasów—i zarówno z drugimi bawił do trzeciej, czwartej godziny nad ranem.

Uchodził za bardzo gorliwego katolika, i widziano go nieraz klęczącego w kościele. A otóż co nam raz w licznych opowiadał kole:

— Gdym miał lat dwadzieścia-sześć nie chodziłem do kościoła i nie bywałem u spowiedzi, już podobno od lat sześciu. Matka moja była pobożną bardzo, i napominała mnie nieraz. Ale wszystkie jej uwagi puszczała *per non sunt*. Aż tu dnia jednego oskarżyła mnie przed ojcem, i ten przyzwał mnie do siebie.

— A cóż to wasan sobie myślisz?—zagadnął— że nie chodzisz do kościoła i u spowiedzi nie bywasz?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. A ojciec powtórzył znowu:

— No gadajże, co wasan sobie przy tem myślisz?

— Nic nie myślę, ojcze kochany—odrzekłem.

— Bajbardzo! Otóż więc i ta odpowiedź wasana dowodzi jasno, jaką to niedorzeczność popelniasz. Posłuchaj zatem, wyłożę ci logikę całą, a potem zapewne będziesz do kościoła uczęszczał. Czy wasan jesteś szlacheicem?

— Mam to najgłębsze przekonanie, że nim jestem.

— I chcesz nim być zawsze?

— Nie wyrzekłbym się szlactwa swojego, gdyby i życie położyć przyszło.

— Bardzo pięknie! Wiesz przecie wasan, że tu u nas są trzy stany: szlachta, lyki i chłopi. Szlachte jest katolikiem, lyk zwykle lutrem, a chłop schyzmatykiem. Jeżeli zatem chcesz być szlacheicem, to bądź i dobrym katolikiem: bywaj w kościele, obserwuj święta i posty, chodź do spowiedzi i do komunii św.

— Te argumenta nieboszczyka ojca tak mnie przekonały, że odtąd tych wszystkich kościelnych przepisów jak najgorliwiej przestrzegam.

W styczniu odebraliśmy od Edwarda Żeligowskiego (Antoniego Sowy) listy serdeczne i piękne jego „Noenice“ (Nocturno), jako przyczynek do Wiązanki literackiej, która wyjść miała w Warszawie. I przytoczę tutaj parę ustępów:

„Z niewypowiedzianą radością, ze szczęściem w duszy, powitałem wiadomość powrotu Pani i czei-

godnego Augusta do Warszawy. Dla sere przyjaznych Wam, a do tej liczby—bez nadużycia wyrazu—całe nasze wileńskie grono zaliczyć mogę, była to uroczystość prawdziwa.

„Opóźniony druk prac moich jest dla mnie ciężkim bólem. Niekorzystne wyobrazenie, jakie o mnie powzięła cenzura, jest tego przyczyną, lubo żadną złą myślą nie zgrzeszyłem nigdy...

„Dziękuję całem sercem za wezwanie mnie do uczestnictwa „Wiązanki.“ Z prawdziwą rozkoszą posyłam kilka moich wierszy, będę bardzo szczęśliwy, gdy zapelnia parę kartek „Wiązanki.”

Do męża mojego napisał:

„Wypowiedziałem radość moją przed czeigodną żoną Twoją z okoliczności Waszego do Warszawy powrotu, radość najwyżej podzielona przez wszystkich Twoich przyjaciół.

„Nie podług wielkiej chęci mojej służenia Wam, lecz stosowniej do malej możności mojej, ślę kilka moich wierszy. Oby się Wam zdały do „Wiązanki!...” Co zechcesz w moich wierszach z tytułów czy z porządku odmienić, postąp najabsolutniej podług Twojego upodobania...

„Jestem upoważnionym przez redakcyę mającego się tu pojawić pisma zbiorowego, które ma fundusz dla opłacenia artykułów, prosię ciebie o przysłanie „Ramotki.” Redakcyę płaci za arkusz druku sto zł. pol.

„Zrobisz wielką łaskę, przychylając się do mojej prośby, bo Litwa łapezywie wszystkie Twoje produkeye zjada. Nie waź się obrazić za mamoniczną propozycyę, bo to jest tego pisma warunek,

a ta odezwa do Ciebie jest ufnością i miłością braterską natchniona...

„Cóż Ci powiem o sobie? Różnym rodzajem boleści jestem trapiiony, a że się niema z czem chwalić, więc przestanę na tem. Do uroczystych chwil życia policzę moje powitanie Ciebie i będę pijany już samem Ciebie widzeniem...”

Wkrótce potem zgromiła nas wiadomość, że w Wilnie Edward Żeligowski nagle aresztowanym i zaraz, bez zwłoki, wywiezionym został. Posiadał on wielką miłość młodzieży. Kilku więc wzięło natchnionych kuryerskie konie i pogonili w ślady kibitki, uwożącej kochanego twórcę „Jordana.” Aż wreszcie domyślili się, że go wiozą do Ołoniecka — i smutkiem przybici do Wilna wrócili.

Zaraz potem wywiezionym został Jastrzębiec (Połubiński) do Wiatki — a Zofia z Brzozówki do Orenburga.

W Kijowie skonfiskowano „Gwiazdę,” pismo zbiorowe pod redakcją Gryfa i Dołęgi, pod ścisłą i surową wychodzącą cenzurą. Policya odbywała rewizye po wszystkich księgarniach: w Kijowie, Grodnie, Wilnie, Żytomierzu. Zabrano „Jordana” Antoniego Sowy, pisma Tytusa Szczeniowskiego (pseudonym Blepoński), Jastrzębca, Zofii z Brzozówki, „Pamiętnik naukowo-literacki” Podbereskiego i t. d., ocenzone przed drukiem i po druku według formalności wszelkich. A niektóre książki, jak „Jordan” i prace Szczeniowskiego, były już od lat kilku w dozwolonym ścisłym obiegu księgarskim. Przytem oczywiście, nastąpiły prześladowania literatów, księgarzy — a nawet i cenzorów.

Nasłuchałam się wiele o tych smutnych wypadkach. Mam listy, rzucające domniemywania i wnioski przeróżne. Ale trudno podejrzewać, skoro przeświadczenia dokładnego niema.

Żeligowski posiedział w Ołoniecku do r. 1859. Potem wrócił ułaskawiony. Przyłączył się do redakcyi „Słowa,” które Okryzko w Petersburgu ogłosił. Lecz tylko numerów kilka wyszło — i pismo zakazanem zostało.

Powrócił Aleksander Miniszewski z zagranicy i przyszedł do nas, świeżo i modnie ubrany. Nie zastał męża mojego, tylko mnie i pannę Konstancję Kaliszównę — która przybyła do Warszawy, ażeby się starać o ułaskawienie braci, będących w rocie aresztanckiej w Zamościu, za kampanię węgierską.

Powitałam go, jako dawnego znajomego. Wiedziałam, że bawił w Poznaniu, że tam literacko pracował — i znał zapewne wszystkich. Zapytałam więc o jednego i drugiego znajomego — a jakieś dziwne rzucił mi odpowiedzi.

— Cóż robi Karol Baliński? — zapytałam znowu ze współczuciem przyjaźni.

— Och ten wielki poeta siada zawsze na drewnianego Pegaza, którego z miejsca upchnąć nie może.

Stłumiłam cierpkie wrażenie i pytałam dalej:

— A jakżeż tam pan *?

— Ten wielki człowiek, sławą własną pijany, sądzi o sobie, że go wieczna otoczyła gloria.

— Co też pan mówisz!... A pan **?

— Oeh mąż ten uczony mniema, że siedzi, na barkach Minerwy i całym trzęsie światem. Zapytasz pani może jeszcze o N. N., bo i to uczony jest człowiek, to jest, uczyli go, ale nie nauczył się niczego.

Przygryzłam usta i już o nie i o nikogo pytać nie chciałam.

— Są to wszystko mędrycy, że i zmiłuj się Boże!

— Jakież teraz pisma w Poznaniu wychodzą? — zapytałam, chcąc inaczej pokierować rozmowę.

Zaczął je wylizywać i zagadał nagle:

— Czy państwo słyszeliście tu już o listach Olesia?

— Nic nie wiem.

— Prześliczne to listy, drukowane w odcinku „Gazety Polskiej.” Znakomite, z niczem nie porównane. To też wyrrywają je sobie.

— A któż jest ten Oles?

— Niewiadomo. Tajemnica to. A mówią, że on już nie żyje. Jakie myśli! Jaki język! Przekudowne! Napisał także, „Grzechy powszednie,” powieść, przy której niechaj się schowają Kraszewski i Korzeniowski. Może potrafię dać ją pani później do przeczytania.

— A „Listy Olesia?”

— Nie robili z nich odbitek, bo tego autor podobno nie chciał. Lecz przedrukują zapewne później, bo to zanadto jest znakomite.

Później dowiedziałam się, że on sam był autorem „Listów Olesia” i „Grzechów powszednich!”

Opowiadał, że za pośrednictwem któregoś księcia Hohenzollern amnestję otrzymał. Że księgarzowi Beerowi w Berlinie sprzedał swój rękopis: „Życiorysy hetmanów polskich,” i wprost ztamtąd tu przyjechał. Że w jednym wagonie jechał z generałem rosyjskim, księciem... nie pamiętam nazwiska—który mu przyrzekł, że się za nim wstawi u ks. Paskiewicza, ażeby aresztowanym nie był wcale i t. p.

Gadając dalej a dalej wpadł na temat: że zachód jest zgniłym — i tylko ze wschodu nowe, świeże, czerstwe płynie życie. Że wszyscy powinniśmy w tamtą zwrócić się stronę i ztamtąd Messyasa wyglądać, a otrząść się całkiem z zachodniego kału.

— Poznańskie, bo już poczyna zapatrywać się zdrowiej—prawil dalej—pozbywa się mrzonek demokracji i o równouprawnieniu ludzi. A wierzy dzisiaj, że warstwowanie społeczne jest koniecznością i potrzebą niezbędną. To też, patrz pani — posunął mi kartkę wizytową po stole—mam Starzę na bilecie, bo taki jest dziś ogólny zwyczaj w Poznaniu. Wszędzie herby wróciły: na poduszki, na ściany, na srebra stołowe, na porcelanę i na chustki do nosa. Poznańskie do zdrowia powraca i do pojęć zdrowych. Czasy omamienia minęły.

Słuchałam nie mówiąc—boć tu i rozmowy nie było żadnej. Nie dziwiłam się niczemu—i żal tylko poczułam.

Wreszcie, już i nie wiem jak, zaczął poetów

naszych wyszydzać. We mnie wszystko burzyć się poczęło.

— Jeszcze tam Słowacki—wymówił—to i wyróżnia się więcej, wielka tam fantazya i forma piękna. Mieszkalem z nim razem w Wrocławiu i poznałem go na wskroś. Jego „Król-Duch” nie jest pospolitością, a właśnie dlatego, że go nie rozumięją. Ja boć rozumiem, i wieleśmy o tem mówili. „Baladyna” także ma swoje wyłączne zalety. Ależ „Kordyan!”—i zaśmiał się szydząco.—A trzeba paniom wiedzieć, że i ów wielki Mickiewicz dziś już poznawany jest inaczej. Jego „Waleenrod,” „Dziady,” to istne chorobliwo-gorączkowe mrzonki. Ta stara „Aldona” i ten stary gruchający Alf, jako dwa gołąbki, to curiosum. Wreszcie i cały ten utwór...

— Mój panie, już dosyć tego!—porwałam się niecierpliwa, do żywego wzburzona — mogłybyśmy sądzić, że sobie z nas żartujesz...

— Daję najświętsze słowo honoru, że mówię z głębi duszy i że takim jest sąd wszystkich ludzi rozumnych, bo...

— Przystań pan, na miłość Boga! Słuchałam cierpliwie przez grzeczność, ale słuchać już dalej nie chcę i nie mogę! A dam panu dobrą i życzliwą radę: nie powtarzaj pan tego nikomu, coś nam tutaj powiedział, jeżeli nie chcesz... wstrętne go na siebie rzucić światła. A dobrze, że August tego nie słyszał: znasz pan gwałtowność jego, gdy go co dotknie, a to wszystko, coś pan tutaj powiedział, podrażniłoby go było tak strasznie... że krzyknąłby... i drzwi otworzył zapewne...

— Ach kochany, poczeiwy!

Uważałam, że zmieszał się bardzo.

— Przyjechałem wczoraj dopiero i zaraz dopytywałem się gdzie państwo mieszkacie — zaczął jaknajspokojniej.—Pójdę ztąd do poczeiwych Wójcickich. Poszukam Wolskiego... Jutro znowu będę państwu służył, by kochanego wujasinka literackiego uściskać...

Powstał wreszcie, pożegnał się i wyszedł. A panna Konstancya rzuciła mi się na szyję, żem mu przecież słowa prawdy powiedziała.

Bywał niemal codziennym u nas gościem, ale z czemś podobnym jak powyżej, już nie odezwał się nigdy. Gadał tylko wiele bardzo i błagował okrutnie. Zeszli się raz z doktorem Tryplinem, który przecież także mówił dużo, a zdumiał aż niby, słysząc tę wielką wprawę.

Zrobiliśmy uwagę, że zagranica bardzo niekorzystnie na jego wpłynęła usposobienie i rozwinęła przywary w nim więcej.

Bywał w domach znanych mu dawniej, uczęszczał na wieczory i błagował. A raz jeszcze powtórzę, że to jedyna ta błaga nieszczęsna stworzyła niecne Komunały, popchnęła go w przepaść, sprowadziła zemstę i śmierć okropną. Wiedzano jak rozległe miał stosunki... jak wiele mógł wiedzieć... i lękało się!

Wyjechał później na wieś i już go więcej nie widziałam. Czemuż nie zakończył na „Listach Cześnikiewicza”!

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Zebrania u pani Seweryny z Żochowskich Pruszkowej (Duchińskiej)	5
Dr Ferdynand Gotard Karol Dworzaczek i jego kółko	19
Pułkownikowstwo Paszkowscy.	38
U nas	61

„Bluszcz“

Najobszerniejszy najpoczytniejszy organ tygodniowy, literacko-społeczny
illustrowany dla kobiet.

Pod kierunkiem literackim **Zofii Seidlerowej**
Wydawca **Piotr Łaskauer.**

BLUSZCZ помещаа artykuły społecznej i literackiej treści pierwszorzędnych piór, poruszające najżywoźniejsze sprawy społeczne, w roku 1907 między innymi помещаа: *J. Chrzanowski, Studium literackie. A. Kraushar, flutorskie prawa Kł. Tańskie. K. Zalewski, Powstanie z roku 1863. M. Gawalewicz, Bez celu — powieść K. Drucki-Lubecki, Trębowa dramat. A. Augustynowicz. Z ciemni. C. Walewska, Dwa obozy* i wiele innych,

BLUSZCZ Dział Mód i gospodarstwa domowego powiększa:

PODWÓJNY DODATEK MÓD

dodawany będzie co drugi numer w celu rozszerzania działów:

UBIORY DLA DZIECI.

Krój sukien i bielizny, hafty, gipiury, monogramy, roboty drutowe, roboty koronkowe.

3000 najświeższych wzorów: sukien, okryć, kapeluszy, robót ręcznych powyższe działy objaśniają.

Bluszcz daje jeszcze 26 wielkich tablic krojów, które tak dokładnie objaśniają, że dają możliwość wykończenia w domu wszystkich części ubrania dla kobiet i dzieci; bielizny męskiej i dziecięcej.

„**BLUSZCZ**“ kosztuje w Warszawie rocznie rb. 7 k. 20, półrocz rb. 3 k. 60, kwart. rb. 1 k. 80; z przes. poczt: rocz. rb. 10, półrocz. rb. 5, kwart. rb. 2 k. 50. Najlepiej zamawiać:

Administ. „Bluszczu“. Nowy-Świat 41 w Warszawie.

Prospekty na żądanie przesyła się gratis i franco.